

I. Wspomnienie o moich rodzicach, Bronisławie i Annie (z domu Bury) Kapinosach

Piękna droga, piękny ślad...

Nasza Mama, Anna Kapinos, zmarła 28 stycznia 2009 roku, około godziny 22.40 w domu mojego brata, Eugeniusza. Przy Jej odejściu z tego świata byliśmy obecni ja i moi bracia: Eugeniusz i Janusz. Była też z nami żona Eugeniusza, Halina. Niedługo po śmierci Mamy, dołączyła do nas moja żona Dorota i wszyscy razem ubraliśmy Mamę na ostatnią drogę.

Ostatnie 7 dni życia mojej Mamy upłynęły pod znakiem wielkiego cierpienia. Bolało ją wszystko, nawet pogłaskanie po policzku. W tej kilkudniowej agonii była jednak świadoma i do ostatniej chwili wodziła za nami swymi oczyma.

Nigdy wcześniej nikt z nas, najbliższych, nawet nie pomyślał, że przyjdzie taki moment, że będziemy modlić się o śmierć naszej Mamy. A tak właśnie było w ostatnim tygodniu jej życia. Prosiłiśmy naszego Pana o skrócenie jej cierpienia. Wiem, że to, jak bardzo cierpiała, pozostanie w naszej pamięci i na pewno wpłynie na nasze dalsze życie.

Od świąt Bożego Narodzenia dokuczał jej świąd skóry, który przez ponad miesiąc nie pozwalał jej spać. Mama była poraniona do krwi od drapania. Leków szukaliśmy wszędzie: w Rzeszowie, Warszawie, Wrocławiu. Bez skutku. Nic nie pomagało. Zadawaliśmy sobie pytanie: ileż nocy może nie przespać? Do tego doszedł brak apetytu. Mama z dnia na dzień miała coraz mniej siły, zżerała ją gorączka.

Najgorsza była ta niemoc, poczucie, że nie jesteśmy w stanie jej pomóc. A ona do końca uczyła nas i pokazywała swoją wielką wiarę. Każdego witała i żegnała z wielką radością. Mimo wielkiego zmęczenia dla każdego miała uśmiech i dobre słowo. Ani przez chwilę nie narzekała na swoje cierpienie.

Dwa dni przed śmiercią na pytanie, jak się czuje, odpowiedziała: „jak w godzinę śmierci”. Powtarzała, że chce iść do domu Pana, że chce iść do Pana Jezusa. Przed śmiercią poprosiła o herbatę (powiedziała: „herbaty, tylko nie takiej słodkiej”). Jej ostatnie słowa brzmiały: „Serce Jezusa”.

Wcześniej był szpital, operacja, strach przed narkozą i ból po operacji. Codziennie w szpitalu czekała na poranną wizytę księdza z komunią świętą. W szpitalu przyjęła namaszczenie chorych. Personel medyczny chwalił ją jako pacjentkę za cierpliwość i skromność. Prosiła, aby po jej śmierci nie kupować żadnych wieńców czy kwiatów, a jedynie zamówić Mszę świętą w jej intencji.

Ostatnia droga Mamy

Pogrzeb miała piękny. Jak na styczeń dzień był wyjątkowy, ciepły, przed południem trochę poproszył śnieg. Przyszło bardzo wielu ludzi. Ośmiu księży odprawiało mszę św., a dziewięty był w konfesjonale. Pogrzeb rozpoczął się o godz. 11. W kaplicy odmówiono różaniec w intencji Zmarłej. O godz. 12 zaczęły się uroczystości pogrzebowe w kościele. Koncelebrze przewodniczył ksiądz proboszcz parafii pod wezwaniem św. Anny z Wadowic Górnych, Wojciech Duplak. Kazanie wygłosił przyjaciel rodziny, ksiądz Marian Midura, Krajowy Duszpasterz Kierowców. On też odczytał list od Arcybiskupa Wojciecha Ziemby, przekazał kondolencje od siostrzeńca Mamy, ks. Józefa Tabaki oraz podziękował w imieniu rodziny wszystkim uczestnikom pogrzebu.

Mszę świętą koncelebrowali: ojciec przeor karmelita Włodzimierz Durbas z Sanktuarium Matki Bożej Pocieszenia z Pilźna, ks. płk Tomasz Anisiewicz, proboszcz parafii garnizonowej z Rzeszowa, ks. Andrzej Cypryś, dyrektor Instytutu Jana Pawła II z Rzeszowa, ks. prałat Stanisław Jurek z Bazyliki św. Mateusza w Mielcu, ks. proboszcz Wojciech Chochoł z Trześni, ks. rezydent Władysław Tokarczyk z parafii Trójcy Przenajświętszej w Mielcu oraz ksiądz senior dziekan Kazimierz Święch z Wadowic Górnych.

Zamówiono 68 Mszy św. w Wadowicach Górnych i dwie poza parafią. Zamówiliśmy również msze święte gregoriańskie. Pierwszą 1 lutego 2009 odprawił ks. Marian Midura.

Wspomnienie o cierpliwym życiu

A oto fragmenty z kazania ks. Mariana: „*I pamiętam czasy, kiedy jako dzieci przychodziliśmy do domu Bronisława i Anny, gdzie czuliśmy się nie tylko jako sąsiedzi, koledzy... Zawsze miała dla nas kawałek chleba. Nawet jak w długie wieczory przygotowaliśmy wyjście na kołędę czy jasełka, zawsze była cierpliwa i potrafiła zachęcić, ale tylko do dobrego. Gdy potem przygotowaliśmy wieńce dożynkowe, Jej dom był zawsze szeroko otwarty dla każdego z nas. Gdy potem wieczorami stanu wojennego przyszło nam pisać nielegalnie, po cichu, ulotki, to wiedząc o tym, nie tylko nie wtrącała się, ale zawsze życzliwie przynosiła nam coś dobrego. To jej cierpliwe życie, właściwie na kolanach, pełne modlitwy, dało tak piękne owoce, że dzisiaj, żałując że od nas odeszła, chcemy pójść za nią, bo piękną drogę, piękny ślad po swoim życiu nam zostawiła. Dlatego Bogu dziękujemy za jej piękne życie i za jej długą i piękną śmierć. To świadectwo, że dobry człowiek pociąga do dobrego i tym dobrem promieniuje. Niech takim będzie nasze życie i wszystkie sprawy, które prowadzimy*”.

A tak m. in. mówił proboszcz Wojciech: „Są pogrzeby, które stają się uroczystością. To świadectwo czci pamięci o Zmarłej św. pamięci Annie. Nie narzekała na cierpienie, chorobę. Niech to pragnienie, które było ostatnim pragnieniem Zmarłej: „Ja już chcę iść do Pana Jezusa”, będzie również testamentem tego pogrzebu dla każdego z nas, by całe życie było ożywiane tym pragnieniem, tą nadzieją bycia w wieczności z Jezusem.”

Tata

Nasz Tata, Bronisław Kapinos, zmarł 22 lipca 2009, około godz. 11.50, w Szpitalu Powiatowym w Mielcu, na oddziale pulmonologii. W chwili Jego śmierci byłem tam wraz z bratem Eugeniuszem. W szpitalu Tata spędził ostatnie 5 dni i zmarł, tak jak Mama, w środę. W ostatnich dniach przysypiał, ale jeszcze od czasu do czasu, z rzadka, z nami rozmawiał. Dzień przed śmiercią prawie przestał mówić. Gdy już odchodził z tego świata, trzymaliśmy go za rękę, a on patrzył na Gienia i na mnie, a oczy jego miały niespotykaną jasność.

Jego choroba trwała 10 miesięcy. Najpierw był zawał serca, potem wykryto nowotwór mózgu, potem przyszła cukrzyca od leków, padaczka, na końcu jeszcze niedowład lewej strony ciała. W tym czasie przyszła też ciężka choroba, a potem śmierć jego jedynej miłości, żony Hanusi, o której przez ten cały czas nawet nie mógł mówić, tak bolesne było to dla niego przeżycie. Gdy pytaliśmy o nią, odpowiadał, ale sam tematu nie rozpoczynał.

Na dwa dni przed śmiercią wołał: „Hanus, Hanus”. Tato bardzo chciał żyć, miał wielką wolę życia. Chciał cieszyć się w tej chorobie najbliższymi, bo całe jego życie ubiegło pod znakiem pracy i modlitwy. Pracował do ostatnich dni przed chorobą. Niewiele miał więc czasu na to, aby nacieszyć się najbliższymi. Choroba przebiegała bez bólu fizycznego, ale Tato odczuwał wielki ból psychiczny. - Co się z stało z Bronkiem? - pytał nas. Martwił się też, czy będzie mógł chodzić. Każdej nocy budził się niespokojny po kilka razy. Miał wspaniałą opiekę Genia i Halinki, którzy nie przespali wiele nocy, gdy Tato czuł się źle. Mówił (o nich), że Pan Bóg zesłał mu Aniołów.

Dwa tygodnie przed śmiercią odwiedziliśmy sąsiadów. Tato był na wózku, wizyty nie trwały długo, ale chciał odwiedzić wszystkich. Z każdym dniem był słabszy, samopoczuciu nie sprzyjały też upały, a choroba robiła postępy. W ostatnich miesiącach życia wyśpiewał nam wszystkie piosenki z młodości, których wcześniej nigdy nie słyszeliśmy. Wspominał też traumatyczne przeżycia z czasów II wojny światowej.

Oboje z mamą byli objęci opieką domowego hospicjum, lekarz przyjeżdżał praktycznie na każde zawołanie, nie rzadziej niż raz w tygodniu, przyjeżdżały też pielęgniarki. Cały okres choroby był konsultowany ze specjalistami ze szpitali w Mielcu i w Krakowie.

Personel medyczny go lubił. Swoją niecierpliwość nadrabiał całowaniem po rękach. Mówił im, jak bardzo są wspaniali. Moja córka, Paulinka, miała studenckie praktyki lekarskie na neurochirurgii, tam, gdzie Tato przeleżał najwięcej, bo chyba z 6 tygodni. Mówili tam o nim w samych superlatywach, opowiadali, że wołał bliskich, śpiewał piosenki i się modlił. Staraliśmy się, aby prawie zawsze ktoś z nim był. Rodzina poświęciła mu wiele czasu, odwiedzali go jego siostry i bracia. Codziennymi jego gośćmi byli Roman i Zofia Bury, a do Romana Tato miał ojcowsko-braterskie uczucia. Dwa tygodnie przed śmiercią, widząc swoją niemoc, powiedział mi, że wie, że nie będzie już chodził. Stwierdził też, że chce już umrzeć. Od tej pory z każdym dniem był słabszy.

Pogrzeb Taty odbył się 25 lipca 2009, w sobotę, o godz. 14 i był równie piękny, jak pochówek mamy, chociaż Tato powiedziałby pewnie tak, jak po pogrzebie Mamy: „I co z tego, jak człowieka nie ma”.

Na pogrzeb przyleciał nasz brat Janusz z Chicago, który przez cały czas choroby był w kontakcie z Tatą i z nami. Całą uroczystość poprowadził Jego Ekscelencja ks. arcybiskup Wojciech Ziemia, Metropolita Warmiński. Mszę Świętą koncelebrowali: ks. proboszcz parafii Trójcy Przenajświętszej, Stanisław Składzień, ks. rezydent Władysław Tokarczyk z parafii Trójcy Przenajświętszej w Mielcu, ks. prałat Józef Midura z parafii Rozogi, ks. prałat Leszek Dereń, kolega ks. Stanisława Midury, którego nazwiska nie znam, ks. proboszcz parafii św. Anny w Wadowicach Górnych, Wojciech Duplak, ksiądz senior dziekan Kazimierz Święch z Wadowic Górnych, który posługę czynił w konfesjonale, sekretarz arcybiskupa Ziemy, ks. Mariusz Rybicki. Ksiądz arcybiskup wygłosił kazanie i ze wszystkimi kapłanami odprowadził Tatę na miejsce spoczynku. W kazaniu zwrócił uwagę na religijne życie Taty, na krótki czas, w jakim oboje z Mamą odeszli w czasie niespełna pół roku. Mówił, że każdy pyta: dlaczego? - Ale nie szukajmy na to pytanie odpowiedzi - przestrzegął.

Ksiądz proboszcz z Wadowic podziękował w imieniu rodziny wszystkim uczestnikom pogrzebu. Szczególne podziękowania skierował do ks. arcybiskupa Wojciecha i księży koncelebransów. Podziękował Tacie za jego solidną pracę w radzie parafialnej, za jego troskę o życie parafii, przypomniał jego radość z uczestnictwa młodzieży i dzieci w różnych nabożeństwach. Podziękował mu za pracę na rzecz parafii i lokalnej społeczności. Zamówiono ok. 80 Mszy świętych, a w dzień pogrzebu odprawiona została Msza św. w Jaffie, w Ziemi Świętej. Natomiast w odpust w Wadowicach Górnych o godz. 9 odprawili mszę św ksiądz kanclerz Kurii Wojska Polskiego Leon Szot i ksiądz Marian Midura, Krajowy Duszpasterz Kierowców, którzy nie mogli wziąć udziału w uroczystościach pogrzebowych. Od 1 września 2009 odprawiano za śp. Tatę msze święte gregoriańskie. Odprawiał je ksiądz proboszcz parafii św. Brata

Alberta i kapelan więzienny w Kamińsku, Józef Tabaka, siostrzeniec naszej Mamy, a nasz kuzyn, który również z przyczyn od siebie niezależnych nie mógł uczestniczyć w pogrzebie Taty.

Na pogrzebie Taty było bardzo wielu ludzi. Pochowany został w piękny, lipcowy, niezbyt upalny dzień. W pogrzebie wzięli udział: rodzina, sąsiedzi, parafianie, nasi przyjaciele oraz przedstawiciele samorządu i parlamentarzysty. Składający kondolencje gratulowali nam rodziców. Pocieszali nas, że rodzice są już razem, że Mama czyli Hania wzięła Bronusia do siebie na imieniny. Ci, którzy znali moich rodziców, podkreślali, że będzie im ich brakować, że byli wspinałymi ludźmi.

* * * * *

W sierpniu 1955 roku do Hani przyszedł kawaler. Skromna i zapracowana Hania miała już 26 lat. Nie chodziła na potańcówki, a na weselach bawiła się tylko do zmroku, bo kiedyś kazał tak tata. Ale ojciec zmarł jakiś czas temu, w domu zaczyna brakować męskiej ręki. Hania szybko podjęła decyzję o zamążpójściu.

Zapowiedzi „się wołały”, goście byli już zaproszeni, tucznik w oborze przygotowany. Ślub miał się odbyć już w październiku. Tydzień przed weselem kawaler przyszedł i oświadczył, że... nie może się z nią ożenić.

Naręczony tłumaczył, że na ślub nie zgadza się jego ojciec. Powodem miał być fakt, iż Anna miała czworo młodszego rodzeństwa, więc ojciec narzeczonego bał się, że syn będzie musiał na wszystkich pracować. Kawalera oświadczył, że ojciec zagroził synowi, że go wydziedziczy, czyli nie da mu ani jednej morgi ziemi.

Hania doznała szoku. Nie spała po nocach, płakała, narzekała: „zabrałeś mi Tatę, Panie Boże, a teraz taki cios”. Jej mama, Helena, widząc co się dzieje, wzięła sprawy w swoje ręce. Poszła do swojej koleżanki Balonki i przedstawiła całą sytuację. Akurat do domu przyszedł syn Balonki, Stefan, który podpowiedział, że w Wampierzowie ma kuzyna, Bronka. - Poproszę go, żeby wam pomógł zorać pole za strugiem – mówi Stefan.

Tak też się stało. Bronisław Kapinos przyszedł do domu rodziny Hani. To właśnie ona wyszła mu otworzyć drzwi. Gdy spojrzeli na siebie, od razu wiedzieli, że są dla siebie stworzeni. Był początek listopada 1955 roku. Po kilku spotkaniach poszli dać na zapowiedzi. Ksiądz proboszcz, widząc Annę w tak krótkim czasie z innym naręczonym, był bardzo taktowny i delikatny. Ślub zamówili na 26 grudnia 1955 roku. Anna powiedziała księdzu, że sparzone dziecko ognia się boi, a on uspokoił ją, że zna Bronisława i że z jego strony żadna przykrość ją nie spotka.

Dwa śluby

I tak na sumie w św. Szczepana odbyły się dwa śluby. W tym samym czasie swojemu mężowi Władysławowi ślubowała też Stanisława, młodsza siostra Anny. W tym małżeństwie mama Helena też maczała palce. Brat jej męża, Jan, żonaty był z siostrą Władysława Tabaki.

Jedno wesele

Wesele odbyło się w trzech domach: u rodziny Antoniego Midury, w domu rodzinnym i u rodziny kowala Burka, gdzie były tańce. Wesele było skromne. Zima była ostra, ciężko było o jajka i masło. Placki barwione były sokiem z marchwi, a mięsa pieczone w chlebowym piecu. Władysław zabrał Stasię do Pasłęka, bo tam pracował i mieszkał jako kawaler. Miał tam mieszkanie, tam też rozpoczęli nowe życie. Szybko doczekali się potomstwa: Tadeusza, Halinki i Józefa, zwanego Ziutkiem.

Bronisław i Anna zostali na ojcowiznie i wzięli się do gospodarowania. We wrześniu 1956 roku urodził im się syn Eugeniusz. Bronisław od swojego wujostwa Boreckich dostał drewniany dom z dużą kuchnią, dwoma pokojami i komorą. Dom był piękny, jak na owe czasy, z zewnątrz obity deskami i z podłogami w środku. Helena chciała pomagać swoim córkom, więc jak ptak wędrowała, tylko kierunki odwrotnie obierała: zimę spędzała na północy, w Pasłęku, pomagając Stanisławie przy dzieciach, później jechała do Julii, a na lato przyjeżdżała na południe, do Wadowic Górnych. Pomagała przy dzieciach i pracach polowych.

Jedyna niezamężna córka Heleny, Maria (siostra Anny), była wyjątkowo zdolną uczennicą w liceum, bez problemów dostała się na Uniwersytet Jagielloński, gdzie studiowała nauki ścisłe. Zaliczała bardzo dobrze wszystkie przedmioty. Niestety, żyła w bardzo trudnych warunkach. Ponieważ rodzina posiadała duże gospodarstwo, Maria nie mogła korzystać z żadnej pomocy dla studentów. Mieszkała w fatalnych warunkach, na stacji było zimno, nie było ciepłej wody. Żywiła się chlebem, cukrem i wodą, a nauki miała dużo. Było jej ciężko, zwłaszcza że Maria była bardzo ambitna. Jej bardzo osłabiony organizm złapał zapalenie mózgu. Rodzina stoczyła bój o jej życie. Jej brat, Henryk, zorganizował antybiotyki, które w tamtych czasach były prawie nieosiągalne. Leczenie trwało rok, więc musiała przerwać studia. Po rekonwalescencji Stanisława zabrała siostrę do siebie, do Pasłęka. Tam Maria zatrudniła się w miejskiej bibliotece i ukończyła studium bibliotekarskie. Za męża nie wyszła, ale zawsze była bardzo oddana wszystkim członkom rodziny.

Kolejna córka Heleny, Bronisława, skończyła liceum w Mielcu i zaczęła pracę w banku spółdzielczym w Wadowicach Górnych. Małżeństwo ze Stanisławem Gwoździem też zaaranżowała mama Helena. Naręczony miał morgi, dom, a

do tego był przystojny. Bronia była jeszcze bardzo młoda, nie widziała potrzeby szybkiego zamążpójścia. Chciała trochę popracować i poznać życia. Do tego obserwowała niezbyt udane małżeństwo swojej siostry, Julii, z dużo starszym Antonim. A jej konkurent, Stanisław Gwóźdź, był kilkanaście lat starszy. Na dodatek Bronia dostawała anonimy z przestrożą, że Stanisław nadużywa alkoholu. Jednak mama Helena uznała, że anonimy wynikają z zazdrości, więc Bronia ostatecznie podjęła decyzję o zamążpójściu. Została żoną Stanisława. Syn Roman chodził do szkoły i pomagał w gospodarstwie.

Anna, zwana Hanusią, zaczynała każdy dzień przed godziną piątą rano od modlitwy na kolanach. Później, wspólnie z mężem Bronisławem, sprawowała obrządek w oborze. Po śniadaniu razem szli w pole, do prac rolniczych: sadzenia ziemniaków, siania warzyw i zbóż, zbierania zboża za żniwiarzami, na omłoty, a jesienią na wykopki. Do tego musiała zajmować się gotowaniem obiadów, pieczeniem chleba w piecu, chowem drobiu (mieli ze sto kaczek, czasami i ze 20 indyków). Mieli plantację buraków cukrowych i to Anna zajmowała się robieniem kiszonki dla bydła. Mieli cztery krowy. Dziennie oddawali ok. 40 litrów mleka do mleczarni. Reszta szła na własny użytek, do wyrobu masła, czy twarogu. Zdrowa, czy chora, Anna zawsze była na nogach, bo pracy nie brakowało. Kroku dotrzymywał jej mąż Bronisław, który wykonywał wszystkie męskie prace. Do niego należała uprawa roli, orka, bronowanie, koszenie trawy, zbóż, zwózka, omłoty, odrabianie przy wykopkach, obrządek przy świniach, krowach i koniach. Bronisław bardzo kochał konie, zawsze miał klacz, od której rodziły się źrebiątka, z których wyrastały piękne konie.

Anna zawsze wstawiała trochę wcześniej niż Bronisław, aby zapalić w piecu i ugotować wodę na herbatę lub mleko. Każdy z ich rodzeństwa zawsze mógł przyjść lub przyjechać do ich domu. Zawsze można było liczyć na kromkę chleba z masłem, na kubek mleka czy herbaty, a w święta, czy po świniobiciu, na coś lepszego, np. na swojską kiełbasę czy boczek i kaszanke. Na wakacje Anna zawsze zapraszała swoje siostry z rodzinami i brata Henryka z Zakopanego. Wiedziała, że siostry są na dorobku, więc chciała, żeby w Wadowicach mieli wakacje. Oni odwiedzali się, pomagając przy gospodarstwie. Jedzenia dla nikogo nie brakowało, o co dbała Hania. Te wspólne wakacje dawały wiele radości. Na dodatek rodzina się cementowała. Spali na sianie w stodole, razem zwozili snopki zbóż czy siana, potem kąpali się w stawach, robili objazd po rodzinie od Kawęczyna, przez Wadowice Dolne, po Otałęż i Pień.

W samym środku wakacji w imieniny Hani, w parafii św. Anny-patronki odbywał odpust. Już tydzień wcześniej zaczynały się przygotowania do uroczystości odpustowych, zarówno w domu, jak i w parafii. A w domu zawsze było pełno gości. Nigdy przy tej okazji nie zabrakło braci i siostr Hanusi i Bronka, a także kuzynów z Pnia i Otałęży.

W noc przed odpustem pieczono chleby, serniki i jabłkowce, robiono makaron, zabijano i patroszono drób. W niedzielę pod kościołem rozkładano kramy z całusami, sercami, lodami, blaszanymi zegarkami, koralami, ogórkami kiszonymi. Zewsząd słychać było strzelanie z korkowca. Przebojem była woda z sokiem malinowym. Potem przychodził czas na sumę i procesję, która trzy razy okrążyła kościół. Trwało to czasem ponad dwie godziny.

Potem przychodził czas na obiad odpustowy, czyli na kluski z rosółem, mięso gotowane z kaczki i kury, młode ziemniaki z koperkiem, buraczki i zasmażaną kapusta. Potem goście dostawali oranżadę, placki, wędliny i sałatki. A wieczorem była obowiązkowo zabawa taneczna w remizie strażackiej. Na podwórku stały furmanki, a z biegiem czasu samochody.

Anna urodziła trzech synów: Eugeniusza, Janusza i Fryderyka. Miała też jedno poronienie (było to po urodzeniu Genia) – to był syn. Geniu był pierworodnym synem i pięknym dzieckiem. Rodzice byli z niego bardzo dumni. Anna zaszła po raz drugi w ciążę. Czuli się dobrze. Była w piątym miesiącu ciąży. Broniek wrócił z prac polowych i bardzo źle się poczuł. W nocy zaczął wymiotować, dostał dreszczy, trzęsła go zimnica. Anna robiła, co mogła, aby mu pomóc. Zapaliła w piecu, aby zagotować herbatę, ale mimo jej starań stan męża się nie poprawiał. Pamięta, że gdy dotknęła jego nóg, okazały się zimne jak lód.

Anna wpadła w panikę. Nic dziwnego, niedawno przeżyła śmierć ojca. Są to lata pięćdziesiąte, nie ma elektryczności, o telefonach czy samochodach nie wspominając. Anna zaczęła płakać i rozpaczać, wszystko jawiło jej się w czarnych kolorach. Przypomina sobie, jak dopiero co chcieli jej męża Bronisława zamknąć do więzienia za nieoddanie obowiązkowych dostaw. A przecież co oni winni, że krowa cielna zdechła.

Na dodatek Anna była sama z problemem, bo mama Helena przebywała akurat w Pasłęku. Hania wpadła w panikę, dostała spazmów. Tymczasem Bronkowi, po kilku lipowych herbatach, zrobiło się lepiej. Cóż z tego, skoro pojawił się kolejny problem. Anna dostała krwotok. Wezwano akuszerkę, która pomogła przyjść na świat synowi Hani i Bronka. Syn jednak zaraz zmarł, więc Broniek pogrzebał go na cmentarzu w Wadowicach Górnych. Annę pogotowie zabrało do szpitala. Śmierć dziecka oboje bardzo przeżyli, ślad pozostał w nich na zawsze.

Pierwsze lata po ślubie to był czas piękny, chociaż ciężki. Dorabiali się, zbudowali oborę i wzięli kredyty na sprzęt rolniczy. Nigdy na nic nie narzekali, cieszyli się tym, co mieli i co dał los.

Kiedyś do kościoła przyjechało kino objazdowe. Wyświetlali film o życiu Jezusa Chrystusa. Podczas scen z męża Chrystusa Anna dostała takich mdłości, że musiała wyjść z kościoła.

Nie wyjeżdżali prawie nigdzie, bo w gospodarstwie mieli duży inwentarz, o który dzień w dzień musieli zadbać. Czasem tylko odwiedzali rodzinę w Pasłęku czy Zakopanem. Oczywiście wizyty u miejscowej rodziny były o wiele częstsze. Synowie dorastali, kończyli szkoły. Wszyscy w wolnym czasie pracowali w gospodarstwie.

Początkiem lat siedemdziesiątych do Władzi, najmłodszej siostry Bronisława Kapinosa, przychodził Zbyszek, kawaler z Wielkopolski. Młodzi mieli się bardzo ku sobie, ale mama Władzi, Julia, uważała, że na ślub osiemnastoletniej córki jest jeszcze za wcześnie. Ale młodzi nie dali za wygraną i przygotowali uroczystość ślubu i wesela. Władzia poprosiła o pomoc swoje rodzeństwo, więc Bronisław z Anną stanęli do pomocy, aby wszystko przyszykować. Tydzień przed weselem był dla wszystkich bardzo ciężki. Przygotowania do wesela nałożyły się na żniwa, które wtedy były bardzo pracochłonne, bo wszystkie roboty w polu wykonywano kosą lub kosiarką. Do tego jak zwykle dochodził obrządek i gotowanie, a na dodatek trzeba było pomóc przy weselu.

Anna po nocach piekła serniki i jabłkowce, skubała kaczki i kury, a mąż wraz z dziećmi jej pomagali. W dzień wesela, w sobotę rano rodzina musiała jak zwykle najpierw zrobić obrządek, wypaść krowy, a do tego skosić jęczmień w Przebendowie. Dopiero wtedy można było przygotować się do wesela: wykapać się, wystroić i jechać na wesele do Wampierzowa. Bronisław pełnił rolę kościelnego, a chłopcy służyli do mszy jako ministranci. Wesele odbyło się w Wampierzowie u siostry, Józji Gronkiewicz. Wszyscy bardzo dobrze się bawili, a Annę uznano za mistrzynię sernika. Bronisław jako starosta zaraz z wieczora usnął na weselu, ale z przemęczenia, bo nikt go nigdy pijanym nie widział. Za to Władysław, ojciec Władzi i Bronka, zabawił się dobrze. Cóż, nie co dzień przecież wydaje się za męża ostatnią córkę.

II. Rodzice Bronisława Kapinosa - Władysław i Maria z domu Kołodziej

Kiedy Władek Kapinos jechał do Marysi na koniu na Dożywocie (przysiółek w Wadowicach Dolnych), nikt nawet nie pomyślał, aby stanąć mu na drodze. Wiadomo, Władek miał ognistą krew i nie przepuściłby nikomu, kto by go zaczepił. Jeśli zaś chodziłoby o Marysię, po prostu połałaby się krew.

Władek, który wzrostem przypominał Wołodyjowskiego, w wojsku służył jako ułan, a jazda konna była jego żywiołem. Jego rodzice już nie żyli. Ojca Wawrzyńca nie pamiętał, bo w chwili jego śmierci miał 3 latka. Mama Katarzyna zmarła, gdy Władek miał dziewiętnaście lat.

Władek i Maria ślub wzięli w 1930 roku. Oboje mieli wtedy po dwadzieścia lat. Z rodzinnego domu w Wadowicach Dolnych przywiózł Marysieńkę na swoją ojcowiznę w Wampierzowie. Jan, trochę starszy brat Władka, był już na swoim. Podobnie jak siostry Katarzyna i Anna. Za rok Marii i Władysławowi Kapinosom urodził się syn Bronisław, a za dwa lata córka Celina.

Marysia była piękną kobietą. Jej rodzicami byli Józef i Antonina Kołodziejowie. Wrócili z Ameryki, kiedy Józef stracił rękę w fabryce. Marysia miała czworo rodzeństwa: Julię, Ludwikę, Zofię i Jana. Kołodziejowie mieli piękne gospodarstwo nad rzeką w Wadowicach Dolnych.

Władysław był bardzo wesoły, lecz jak na ojca brakowało mu trochę dojrzałości. Dzieci rosły, potem zaczęły chodzić do szkoły. Zawsze potem będą wspominać, że gdy wracały ze szkoły, zawsze czekała na nie uśmiechnięta mama. Sielanka nie trwała długo. Przyszło lato 1939 roku i mobilizacja. Władka wezwano do wojska. Cóż, służba nie druźba. Zostawił młodą żonę i dzieci. Dołączył do wojska. Maria została sama, wszystko było na jej głowie. Teraz ona musiała zwieźć zboże z pól. Władek tymczasem dostał się do niewoli, do czerwca 1940 roku. Nie mógł tam wytrzymać, nie wiedząc nic o losie żony i dzieci. Wraz z napotkanym w niewoli Ślązakiem uknuli plan ucieczki. Gdy tylko nadarzyła się okazja, uciekli z Niemiec. Aby dotrzeć cało do domu, przez kilkanaście dni maszerowali, głównie w nocy. W ciągu dnia sypiali po lasach lub stodołach. Wciąż kierowali się na wschód. Udało się. Ale gdy wreszcie wrócił do domu, zastał w domu bardzo ciężką sytuację. Z dziećmi było wszystko w porządku, ale żona była bardzo chora. Maria przez prawie cały rok borykała się sama ze wszystkim. Nikt nie mógł jej pomóc. Jej rodzice sami mieli gospodarstwo i młodsze rodzeństwo do utrzymania.

Marysia pracowała za dwoje. Gdy Władek poszedł na wojnę, ona zwoziła zboża z pola, potem kopała ziemniaki i buraki... Potem przyszedł czas na młockę cepami i mielenie w żarnach. Dzieci, czyli Broniek i Celina, pomagały, jak mogły, ale przecież miały wtedy zaledwie osiem i siedem lat. Przyszła ciężka zima, a opału Władek nie przygotował, bo nie miał kiedy. Marysia codziennie musiała więc przynosić z lasu drewno, bo dzieciom trzeba było obiad ugotować i ogrzać dom, żeby nie zmarzły. Do tego Maria spełniała wszystkie prace przy inwentarzu. Z wizyt w lesie często wracała przemoczona. Trudy pracy za dwoje dały o sobie znać. Przemoczona kobieta dostała zapalenia płuc. Nie leczyła choroby, bo przecież nie miała żadnych lekarstw. Nieustannie trawiła ją więc gorączka. Rodzina była trochę

zagłodzona, więc mały Broniek pomagał mamie, jak mógł. Wybierał ptaki z gniazd, aby coś ugotować wygłodniałej rodzinie.

Gdy dzieci zobaczyły ojca, myślały, że wreszcie ich kłopoty się skończyły. W drzwiach domu stanął wymodlony i wyproszony tata i mąż. Wychudzony, ale jakże szczęśliwy, Władek niedługo cieszył się z powrotu do domu. Szybko zauważył, że jego żona jest bardzo chora. Był zrozpaczony, ale postanowił zrobić wszystko, aby ją ratować. Ale możliwości były nikłe. W niecałe dwa miesiące po powrocie do domu męża, w sierpniu 1940 roku, Maria poprosiła go, aby przyjechała do niej młodsza siostra Julia wraz z mamą. Kiedy je zobaczyła, powiedziała im, że niedługo umrze i chce, aby Julia po jej śmierci wyszła za mąż za Władysława i zajęła się dziećmi, bo ktoś się lepiej nimi zajmie niż rodzona siostra. Julia po rozmowie z mamą zgodziła się, bo nie mogła przecież odmówić konającej siostrze. Wtedy Maria poprosiła też o to swego męża. Prosiła, aby ożenił się z jej siostrą Julią, nie zważając na żałobę. Władek bardzo rozpaczał, widząc swoją piękną, trzydziestoletnią Marysię na łożu śmierci, ale przyrzekł wypełnić jej wolę.

Niedługo przed śmiercią Maria przywołała swoje dzieci. Uklękły przy jej łóżku. Błogosławiła je, przytulała i uśmiechała się do nich. Wiedziała, że widzi je po raz ostatni. Potem poprosiła, aby poszły w pole do groszku, a po ich wyjściu zmarła na rękach swojej mamy Antoniny, trzymając za rękę swego męża. Mama Marii, kobieta wyjątkowej wiary, cały czas modliła się i pocieszała rodzinę, mimo że przecież straciła swoją pierworodną córkę.

Maria urodziła się 2 lutego, w Marii i zmarła w Marii, 15 sierpnia. Miała zaledwie trzydzieści lat. Zgodnie z jej ostatnią wolą pochowano ją na cmentarzu w Wadowicach Dolnych. Jesienią tego samego roku Władysław Kapinos, zgodnie z wolą swojej zmarłej żony, wziął ślub z młodszą siostrą Marii, Julią Kołodziej. Z tego małżeństwa urodziły się kolejne dzieci: Józia, Marysia, Julian, Józef i Władzia.

Wojna, wojna, wojna...

Wojna, okupacja, wysiedlenie dotykały ich, podobnie jak wszystkich innych. Nieraz musieli oglądać straszne obrazy wojenne, widok rozkładających się ciał. Tak było kiedyś, gdy zestrzelono angielski samolot. Broniek nie zapomniał tego wydarzenia do końca życia. Tak jak zwykle, mały Broniek stał na czatach, gdy w domu mielono w żarnach lub pędzono bimber. Zdarzało się, że wtedy właśnie w pobliżu spadł zestrzelony samolot. Widok ciał zwęglonych pilotów nie pozwalał mu potem spać po nocach.

Zbliżał się front. Niebo rozjaśniały pociski wystrzelane z katjuszy. Na czas działań frontowych rodzinę wysiedlono do Chrzęstowa. Kapinosowie cieszyli się, że mieli gdzie wrócić, bo dom i zabudowania ocalały. Był jednak inny problem. Rodzinie doskwierał głód, zbierali więc kłosa zbóż i przemarznięte ziemniaki.

Po wojnie zdarzył się nieszczęśliwy wypadek. Broniek znalazł niewybuch. Podczas próby odpalenia pocisk eksplodował i rozerwał chłopcu brzuch i ręce. Prerażony ojciec zawiózł syna furmanką do szpitala w Mielcu. Lekarze kręcili głowami. Jednak młody, silny organizm wygrał z gorączką i chorobą. Po dwóch miesiącach chłopak wrócił do domu.

Kolejne etapy jego młodego życia układały się podobnie jak jego rówieśników: był szarwark przy budowie dróg, następnie służba Polsce w Krakowie i budowa Nowej Huty. Tam obserwował, jak młodych chłopców władza chce zmanipulować. Ludzie, którym zabierają obsianą ziemię pod budowę, rzucali się pod ciężki sprzęt. Później Broniek poszedł do wojska w Jaworznie. Tam dostał wycisk, ale zawsze dawał radę, nawet 30-kilometrowa gonitwa w pełnym rynsztunku nie zabiła w nim ducha. Przetrwał poligon w największe mrozy czy upały, a potem propagandę. „Stalin Bierut Rokossowski niech żyją” - tak im kazali krzyć podczas marszu. Młody, silny, zaprawiony w pracach polowych spokojnie sobie radził. Po wojsku znów pracował w gospodarstwie rodzinnym i pomagał wujostwu Boreckim. Był zapraszany przez dziewczyny na wesela jako drużba. Jako dobry tancerz, do tego nie pijący alkoholu, drużbował dwadzieścia pięć razy. Dziewczyny dobrze wiedziały, że jak będą drużbować z Bronisławem, to zabawa do rana gwarantowana. Kilka z nich snuło plany małżeńskie związane z Bronkiem, ale on wciąż mówił, że nie trafił jeszcze na swoją połówkę.

Żeby zarobić na odzież czy zabawę, Broniek najmował się do koszenia zboża czy innych prac polowych. Kochał pracę na roli i nie widział się w innej profesji. Ożenił się z Anną Bury. Na świat przyszło trzech synów: Eugeniusz, Janusz i Fryderyk.

Narzeczeństwa - od zapoznania do ślubu - trwało niecałe dwa miesiące. Bronisław był wierzący i praktykujący, ale ta wiara jeszcze bardziej się wzmocniła pod wpływem żony Anny, która dużo mu czytała, a potem często rozmawiali na tematy religijne. Bronisław nosił zawsze szkaplerz na szyi. Nigdy się z nim nie rozstawał. Podczas procesji zawsze nosił chorągiew, a w starszych latach baldachim, bo zawsze chciał być bliżej Pana. Nie opuścił nigdy rorat, a w wigilię świąt Bożego Narodzenia zawsze tradycję zachowywał, przynosząc siano i słomę do domu. Otwarty na wszystkich, szczególnie na rodzinę swojej żony, zawsze szanował i akceptował każdą jej decyzję. Miał dwa ulubione sanktuaria, jedno w Odporyszowie, do którego w młodości na piechotę pielgrzymował i w Zgórsku, gdzie jeździ prawie na każdą nowennę. Działał w radzie parafialnej prawie przez całe swoje dorosłe życie. Był też zelatorem róży różańcowej. Uczestniczył we wszystkich akcjach przy budowie, remontach związanych z obiektami sakralnymi swojej parafii oraz

seminarium duchownego w Tarnowie. Mieli z żoną Hanusią dużo pracy, do obrobienia było prawie dwadzieścia mórg ziemi. Bronek, jak Boryna, kochał pracę na roli.

Rodzeństwo Bronisława było dość liczne: Cecylia, Józefa, Maria, Julian, Józef i Władysław. Siostra Cecylia wyszła za Jana Salę i urodziła dwóch synów: Zdzisława i Janusza. Mężem Józef był Mieczysław Gronkiewicz. Mieli troje dzieci: Barbarę, Alinę i Jerzego. Maria Kotwica wraz z mężem Stefanem wychowali trzech synów: Ryszarda, Adama i Grzegorza. Julian, którego usynowiła siostra Julii i Marii, Zofia Kaczmarska, ożenił się z Danutą i mają córkę Marysię. Władzia wyszła za Zbyszka Kaprała i mają dwie córki: Beatkę i Anetkę. Józef ożenił się z Katarzyną. Mają dwóch synów: Jacka i Pawła.

III. Historia Heleny i Franciszka Burych, moich dziadków ze strony mamy Anny

I tak w jedną niedzielę po południu przyjechało na koniach dwóch przystojnych blondynów. Byli to bracia Franciszek i Jan Bury. Franciszek to mężczyzna o ostrych rysach twarzy, bardzo dobrze zbudowany, siła i zdrowie z niego tryskały, ale na piękną Helenę patrzył tak trochę nieśmiało. Za to młodszy brat Janek uśmiechał się, dowcipkował, wszyscy byli nim zauroczeni, zwłaszcza że nie brakowało mu też delikatnej urody. Helena wiedziała, że jednego z nich wybrać musi. Tata sprawdził, że kawalerowie z dobrej rodziny i do tego majątni. Dziewczyna biła się więc z myślami po nocach i rozmawiała o tym ze swoimi najlepszymi koleżankami. Jedna mówiła do niej: „Helenka, przecież twój charakter jest trochę władczy, więc wybierz takiego, który będzie ci ustępował”. Helena to wszystko rozważyła w swoim sercu i patrząc na łagodność Franciszka i jego pełne ufności oczy, stwierdziła w końcu, że „starsze konie idą w pierwszej parze” i... wybrała Franciszka.

Franciszek pochodził z ziemiańskiej rodziny. Jego babka Agnieszka Bardan, córka zarządcy dworu, popełniła mezalians, wychodząc za mąż za kowala Michała Bardana. Z tego związku urodziło się dwanaścioro dzieci, między nimi mama Franka, Apolonia, która wyszła za mąż za Karola Burego z Pnia. Karol i Apolonia Bury mieli ponad czterdzieści mórg ziemi, wielki inwentarz i byli najbogatszymi gospodarzami w Pniu. Urodziło im się czterech synów i cztery córki, a najstarszy był właśnie Franciszek, który przyszedł na świat w 1895 r. Rodzeństwem Franciszka byli: Maria, Łucja, Anna, Julia, Jakub, Jan, Józef. Rodzeństwo pracowało w gospodarstwie, bardzo się szanowało, nie było między nimi żadnej zwady. Każdy, zakładając rodzinę, dostał swoją część gospodarstwa (po pięć mórg), a dla Józefa, który kształcił się w Krakowie, sprzedali te morgi na naukę.

W styczniowy poranek 1929 roku Helena krzyknęła na Franka, że już się zaczęło i żeby zawołał akuszerkę i jej mamę. Czuła, że tym razem to będzie dziewczynka, bo przecież ma już dwóch chłopców. Mama zabrała na czas porodu Bronisława i Henryka do siebie.

Helena urodziła córkę. Oboje z Frankiem wiedzieli, że będzie miała na imię Anna, jak patronka parafii w Wadowicach Górnych. Chrzestnymi Anny zostali: kuzynka Heleny, Anna Padykuła (z domu Kulig), a chrzestnym brat Franka, Jan Bury. Potem co dwa, trzy lata rodziły się następne dzieci. Helena każde dziecko karmiła piersią. Gdy przestawała karmić, zachodziła w ciążę i tak urodziły się jeszcze cztery córki: Julia, Stanisława, Maria, Bronisława. Na końcu urodził się syn Roman. Wszystkich dzieci było ośmioro.

Hanusia, tak do niej wszyscy mówili, jako najstarsza dziewczynka, miała dużo obowiązków. Rodzice zapisali ją do szkoły, gdy miała 6 lat, tak samo jak całą resztę. I tak od 1935 roku zaczęła szkołę powszechną. Lekcje były trochę później, więc rano pasła krowy na Przebendowie, a przed samymi lekcjami rodzice przynosili jej buty, książki i od krow szła do szkoły. Po szkole miała obowiązki z młodszym rodzeństwem. Rodzice ciężko pracowali. Mieli prawie 20 mórg ziemi, dwa konie, trzy krowy, świnie, kury, króliki. Starsi chłopcy, Bronisław i Henryk, pomagali ojcu w polu i stajni. Z lasu przynosili drewno do ogrzewania domu w zimie, a czasem szli jeszcze do dworu Dobrowolskiego, żeby dorobić. Powodziło im się dobrze, ale część dochodów przekazywali braciom i siostrze Heleny, ponieważ kryzys, który zaczął się w 1929 roku w USA, bardzo dotknął jej rodzeństwo, które tam wyemigrowało. Bracia jej nie mieli pracy, a bratowe zarabiała praniem odzieży i gotowaniem pierogów. Byle tylko przeżyć. Helena z Frankiem postanowili spłacić ich z ziemi, którą tutaj zostawili, wysyłali więc dolary do USA, aby rodzeństwo mogło przetrwać ciężki okres kryzysu. Mimo wielu obowiązków Helena z Franciszkiem bardzo udzielali się w kościele, działali w Akcji Katolickiej. Helena przygotowywała wszystkie przedmowy i powitania na wizytacje biskupie czy prymicje. Franciszek, mężczyzna cichy, pracowity, bogobożny, raczej nie sprzeciwia się swojej żonie Helenie. Zdarzyło się, że kupił krowę, ale ta krowa kopęła przy dojeniu, więc poszedł na targ, żeby ją sprzedać. Kupiec dał mu dwa razy więcej, niż on zapłacił za krowę. Najpierw się ucieszył, ale potem nie mógł sobie z tą sytuacją poradzić. Połowę zarobku zaniósł temu, od którego tę krowę kupił. Opowiedział o tym żonie i od tej pory Helena wiedziała, że nie należy męża do żadnych interesów dopuszczać.

Dzieci przybywało, więc i pracy było coraz więcej. Helena z Franciszkiem wstawali zawsze około piątej rano, aby wcześniej rozpocząć prace polowe, ale przed wyjściem z domu oboje karmili swoje dzieci zacierką na mleku, biorąc je po kolei na kolana, gdy jeszcze spały. Potem rodzice sprawiali obrządek i szli w pole, z którego wracali koło dziesiątej. Wtedy jedli drugie śniadanie, czyli ziemniaki z barszczem. Franek szedł do obory a Helena gotowała obiad, czyli a to pierogi, a to ciasto, ziemniaki z kapustą, a w niedzielę kluski z rosółem i ziemniaki z mięsem i kapustą. Na kolację jedli chleb z masłem, a zimą ze smalcem lub słoniną i cebulą. Dbali o swoje dzieci, bo w tym czasie wiele dzieci umierało z wychłodzenia i głodu. W wielu domach w tych pomieszczeniach, w których spały dzieci, woda w wiadrze zamarzała. Mieli piękny dom kryty czerwoną dachówką. W pokojach i kuchni były podłogi sosnowe. Wszyscy się cieszyli, domu tętnił życiem. Franciszek, mimo swojego gołębiego serca, był ojcem bardzo wymagającym. Dzieci wiedziały, że nie mogą się nigdzie włóczyć wieczorami, a praca i modlitwa to dla niego najważniejsze przesłanie. Franek często zabierał swoją rodzinę do swoich rodziców do Pnia. O, jak oni tam lubili jeździć! Nic dziwnego, rodzice Franka jak mogli, tak rozpieszczali swoje wnuki.

Nadszedł rok 1939. Coraz więcej mówiło się o wojnie. We wrześniu 1939 roku Niemcy, a potem Rosjanie, wkroczyli do Polski. Nastął strach, smutek, wielkie zdenerwowanie. Wadowice Górne były pod okupacją niemiecką, zaczęły się wywózki do Niemiec, aresztowania, obowiązkowe dostawy żywności i zboża, za które można było dostać jedynie alkohol. Franciszek Bury miał w pamięci czas I wojny światowej, kiedy to walczył jako żołnierz CK armii. Kilka lat spędził potem w niewoli pod Kijowem, brał udział w wojnie z bolszewikami w 1920 r. A przecież skutki dopiero teraz zaczął odczuwać. Nie było wtedy łatwo. Pamiętał lata rozłąki z bliskimi, pamiętał, że gdy był w niewoli, zżerała go tęsknota za rodziną i odczuwał strach i obawy, co się z nimi stanie. Dobrze pamiętał też ucieczkę spod Kijowa. To była zima. Podczas ucieczki nie miał co jeść, żywił się przemarzniętymi burakami i ziemniakami, które znalazł w polu. W połowie drogi złapali go żołnierze i wszystko mu zabrali. Wypuścili nagiętego, ale on Bogu dziękował, że darowali mu życie.

Okoliczni chłopcy dali mu spodnie i koszulę, ale o butach nie było mowy. Gdy wychudzony dotarł wreszcie do domu rodzinnego w Pniu, ma przemarznięte nogi. Ale z domu zaraz zabrali go znów do wojska, gdzie został do 1918 roku. Potem Franciszek brał jeszcze udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Do domu wrócił w 1920 r.

Franciszek dobrze pamiętał tamte straszne przeżycia, a tu znów szykowało się nowa wojna. Wtedy był kawalerem, tylko za siebie odpowiadał. Teraz to całkiem co innego, miał żonę i siedmioro dzieci. Franek był już dobrze po czterdziestce, do tego nie czuł się całkiem zdrowy, dokuczały mu bóle brzucha.

Najstarsi synowie Franka, Henryk z Bronkiem, wpadali wciąż na różne pomysły. Dowiedzieli się, że Niemcy rekrutują konie do robót, więc aby uchronić ich konia, wbili mu gwoźdźcia w kopyta. Niemcy kulawego konia zostawili.

Hanusia dalej chodziła do szkoły, ale szkoła pod okupacją niemiecką była zupełnie inna niż wcześniej. Niemcy zabrali książki, dali jakieś gazetki i tabliczki. Życie toczyło się jednak dalej. W 1941 roku Helenie i Frankowi urodziło się ostatnie dziecko, syn Roman. Ciężkie lata okupacji dały się wszystkim we znaki: kontyngenty, łapanie, strach, nie tylko przed Niemcami, ale i przed grasującymi bandami.

Przyszło lato 1944 roku. W sierpniowy dzień Hanusia z tatą byli w Przebendowie. Ojciec kosił zboże za stodołą Chmury, a Hania za nim zbierała. Gdy dziewczynka usłyszała warkot motorów, pobiegła do drogi, aby zobaczyć, co się dzieje. Wpadła na Niemca, który zapytał ją o ojca. Hania, bojąc się o tatę, skłamała, że ojca nie ma w okolicy. Niemiec jednak nie dał jej wiary. Poszedł w pole, gdzie spotkał ojca. Za karę, że skłamała, Niemiec wymierzył Hani ostry policzek, aż z nosa popłynęła krew, a Franciszkowi przekazał informację, że musi wraz z rodziną opuścić ten teren, bo tamtędy będzie przechodził front. Franciszek zabrał więc na furmankę część swoich dzieci i pojechał do Zgórsk. Helena, jego żona, została z trójką najmłodszych. Może poprosić Niemców, aby mogli tutaj zostać? Przecież dzieci są jeszcze takie małe. Roman miał wtedy zaledwie trzy lata, do tego jedna z dwóch krów miała się akurat ocielić, w chlewie były malutkie prosięta. Helena spędziła noc u Pradych. Rano postanowiła czekać z dziećmi przy drodze, aby móc porozmawiać z Niemcami. Widziała, że nadjeżdżają na motorze. Wyszła na drogę i skłoniła głowę. Niemcy zatrzymali się i zapytali, czego chce. Poprosiła, aby pozwolili jej zostać, bo została sama z trojgiem małych dzieci. Niemiec zaczął jej perswadować, że tamtędy będzie przechodził front i wszystko spłonie. „Co będziesz jadła? Gdzie będziesz spała? Jak zaopiekujesz się dziećmi? Musisz stąd odejść!” - mówił.

Nazajutrz rano przyjechał Franciszek z dziećmi. Nie mogli jednak wejść już do domu, bo zajęli go Niemcy. Zwierzęta były wybite. Franciszek wziął żonę i szóstkę swoich dzieci, na furmankę załadował pierzyny, krowę przywiązał do wozu i pojechali w kierunku Tarnowa. Po drodze wstąpili do Pnia, aby pożegnać się z mamą Franka, Apolonią. Zostawili tam swojego syna Henryka, który był w strukturach Armii Krajowej. Wciągnął go tam wujek, Józef Bury, porucznik AK, zastępca komendanta na okręg radomyski. Bronek był w tym czasie w Niemczech na robotach. Franciszek pożegnał się z rodzicami i pojechał. Mijali kolejne wsie, spotykali po drodze mieszkańców Wadowic Górnych. Część z nich zostawała po drodze. Franek z rodziną jechali jednak dalej, aż dojechali do Poręby Radlnej. Helena poszła do księdza

proboszcza, od którego dowiedziała się, że mogą zamieszkać w szkole. Rozdzielili więc dzieci. Starsze poszły na służbę do poszczególnych domów. Uzgodniono to wcześniej z księdzem. Hanusia poszła więc do domu Gębskich. Julcia, Stasia i Marysia, mimo że były jeszcze małe, też musiały iść do obcych ludzi, aby pracować za kromkę chleba i dach nad głową. Franciszek wynajął się do młócenia zboża cepami, a Helena piekła chleb, gotowała i zajmowała się Bronią i Romanem. Dzieci były grzeczne i bardzo pracowite, bo przecież wiedziały, że nie mają wyjścia. Czasami praca była ponad siły. Hania wspominała potem, że mogło być przecież gorzej, gdyby wywieziono ją na przymusowe roboty do Niemiec. Ile to razy Niemcy pukali do nich w nocy i szukali jej, Bronka i Henryka. Chłopaków w domu często nie było. W nocy Hania leżała ukryta w sienniku, a na niej mama kładła małego Romusia. Niemcy mieli informacje, że ukrywały się w domu kilkunastoletnie osoby, wpadali nagle, przeszukiwali pomieszczenia, dźgali bagnetem po sienniku, a Hania musiała to wytrzymać i leżeć spokojnie, bez ruchu. Oj, kosztowało ją to nerwów.

Henryk w AK

Franciszek z rodziną żył z dala od domu, w Porębie Radlnej. Broniek był na robotach w Niemczech. W tym czasie Henryk działał w strukturach AK na swoim wadowickim terenie razem ze swoim stryjem, Józefem Burym, pseudonim „Mocny”. Mieli schronienie w Schabowcu, w lasach koło Grzybowa i Rydzowa, a podczas frontu w Narożnikach. Po wejściu Rosjan do Wadowic Górnych młodzieńcy wrócili z Narożnik. Henryk z kolegami widzieli, jaki ogrom zniszczeń pozostawiła wojna. Zginęło wielu ludzi, zniszczeniu uległo wiele domostw, przepadło sporo dobytku. 20 sierpnia 1940 roku, podczas gdy przechodził tamtędy front, zginęli sąsiedzi Henryka: 20-letni Michał Kąsek, 12-letni Józio Kąsek i ich ojciec, 46-letni Jan Kąsek. W tym czasie żona Jana Kąska, Wiktoria, urodziła syna. Zaniósła go w zapasce, uciekając przed katuszami, do schronu w Zgórsku. W drodze jej malutki synek zmarł. Straciła męża i trzech synów. Świadkiem śmierci 20-letniego Michała, którego trafiła kula, była późniejsza siostra zakonna, Midura. Modliła się z umierającym, a on mówił jej, jak bardzo chciałby żyć.

W Wadowicach Górnych w tym czasie wszędzie było mnóstwo rozkładających się ciał. Dom rodziny Henryka spłonął, więc chłopak nie miał pojęcia, co ma zrobić. Wraz ze Stanisławem Balonem Henryk wszedł w kontakt z Rosjanami. Prosił, czy mogliby się żywić w kuchni wojskowej. Komendantem stacjonujących żołnierzy radzieckich był student czwartego roku medycyny. Widząc, w jakiej sytuacji znaleźli się jego rówieśnicy, pomógł im. Ale Henryk ze Stanisławem musieli przygotować się do zimy. Zostali sami, nic nie wiedzieli o losach rodziny. Wpadli więc na pomysł, jak zorganizować odzież na zimę. Wiedzieli, że stacjonujący Rosjanie lubią gorzałkę, a o nią w czasie frontu było bardzo trudno. Postanowili więc zrobić bimber i pohandlować z Rosjanami. Od starego kucharza dostali dwa klocki drożdży, od kogoś bańkę na mleko, do tego żyto i ziemniaki, z których zrobili zacier. Wiedzieli, kto we wsi pędził bimber. Poszukali i znaleźli aparaturę potrzebną do destylacji. W lesie, w tajemnicy przed wszystkimi, zrobili bimber, za który to od żołnierzy radzieckich kupili waciaki i buty na zimę. Henryk, nie wiedząc nic o swoich bliskich, napisał list do swego wujostwa, Jana i Kazimierza Szalickich, braci jego matki, do USA. Poprosił komendanta wojennego stacjonującego w Wadowicach o przysługę. Ten, drogą wojskową, list wysłał. Właśnie z tego listu Polonia amerykańska dowiedziała się o tragicznej sytuacji panującej w okolicach Mielca po odejściu frontu. List ten odczytany został w wielu kościołach w Ameryce. Niedługo potem zaczęła płynąć stamtąd pomoc.

Henrykowi zdarzyło się wiele różnych sytuacji. Niedługo przed nadejściem frontu, jeszcze w czasie okupacji niemieckiej, szli wraz kolegą Antonim Miągą, gdy w pobliżu pojawili się Niemcy na motorze. Henryk i Antoni wystraszyli się. Sądzieli, że to łapanka i że grozi im wywózka do Niemiec, więc zaczęli uciekać. Biegli w kierunku lasu piątkowskiego, potem w kierunku Zgórska. Jeden z gestapowców wsiadł na konia i zaczął ich gonić, Henia obierając sobie za cel. Antoni uciekł do lasu piątkowskiego. Jednak Niemiec dogonił i zbił pejczem Henia tak, że ten całą koszulę, spodnie i skórę miał pociętą i spływał krwią. W końcu umęczony upadł na ziemię, a Niemiec przetransportował go do swojego posterunku. Henryk tłumaczył się, że szedł do pracy do lasu, a gdy ich zobaczył, wystraszył się i dlatego zaczął uciekać. Niemcy kazali mu się rozebrać do naga i obejrzeni go, a kiedy zobaczyli, że nie jest Żydem, puścili go wolno. Przez cały okres wojny Henryk współpracował z Józefem Burym, swoim stryjem, bratem ojca, który go do AK wciągnął. Józef Bury był młodym magistrzem prawa. Przed II wojną ukończył studia na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie.

Przed wojną podjął pracę w Padwi Narodowej jako sekretarz urzędu gminy, potem przeniósł się do Czermina. Tam zastało go ogłoszenie powszechnej mobilizacji. Organizował ją w sierpniu 1939 roku, zaraz po tym, jak ogłosił ją prezydent Mościcki. Józef zajął się organizowaniem koni i wozów dla wojska. W gminie Czermin mieszkało wtedy wielu kolonistów niemieckich. Józef również, a może w szczególności, od nich zarekwirował wiele koni i wozów na potrzeby wojska. Folksdojcz, z Zimmermanem na czele, zapamiętali mu to. W 1940 roku ktoś z organizacji zdradził, że Józef Bury przebywa w domu rodzinnym w Pniu. Szybko pojawiło się tam gestapo. Ostro wzięli się za ojca Józefa, który miał już ponad osiemdziesiąt lat. Oprócz ojca, Karola Burego, w domu był też szwagier Dusza. Obu Niemcy na zmianę torturowali. Karol Bury co jakiś czas tracił przytomność. Duszy odbili nerki. Gestapowcy, widząc w jakim stanie są ich ofiary, uznali, że nie wyciągną od nich miejsca kryjówki Józefa Burego. Uznali, że katowani nie znają tej

kryjówki, w innym wypadku już by ją ujawnili. Mylili się. Józef w tym czasie przebywał w oborze, schowany za krowami. Na drugi dzień Józef zobaczył ledwo żywego ojca i szwagra, pożegnał się i uciekł do lasu.

Jego ojciec, Karol Bury, zmarł kilka dni później, 7 października 1940 roku.

Przed II wojną światową, gdy starsze dzieci Heleny i Franciszka Burych chodziły do szkoły, pod szkołą zdarzały się różne incydenty. Na przykład stary mężczyzna częstował cukierkami wszystkie dzieci, a za każdego cukierka kazał pochwalić Pana Boga. Wtedy starszy człowiek odpowiadał: „Na wieki wieków amen”.

Dziwne to było. Rodzina Burych niedawno miała mały kłopot, gdy Żyd Jankiel częstował cukierkami sześciolletnią Julię, a potem chciał za te cukierki... cielaka. Jankiel cielaka od Franciszka nie dostał, za to dzieciom się dostało od ojca, że cukierki brały.

Więc teraz, gdy starszy mężczyzna znów częstował dzieci, Anna zapytała mamę, jak ma się zachować. Mama pozwoliła dzieciom brać cukierki i chwalić Pana Boga. Okazało się bowiem, że ten starszy pan, częstujący łakociami, za młodu zajmował się namawianiem młodych panien do schadzek ze swoim panem z dworu. Pan wykorzystywał te młode, piękne dziewczyny. Urodziło się z tych grzesznych związków wiele dzieci nieślubnych. Dziewczętom było potem ciężko żyć, dochodziło do wielu tragedii. Na stare lata rajfur chciał odpokutować za grzechy, więc częstował cukierkami i zdobywał odpusty. W książeczce wyczytał, że za pochwalenie Pana Boga jest sto dni odpustu.

* * *

Minęła zima z 1944 na 1945 r., ludzie zaczęli wracać z wysiedlenia. Helena poszła do Tarnowa, żeby się dowiedzieć, czy już można wracać do domu. Na tarnowskim burku spotkała swojego syna Henryka, który opowiadał mamie o tragicznej sytuacji w Wadowicach Górnych, a zwłaszcza o zniszczeniach, jakie dotknęły ich gospodarstwo. Z całych zabudowań nie zostało nic. Na podwórku ostała się tylko dzika grusza i studnia, a w polach tylko głębokie leje po katuszach. Helena po powrocie do tymczasowego lokum przekazała wieści mężowi, który postanowił wybrać się w rodzinne strony i wszystko zobaczyć, aby podjąć decyzję o terminie powrotu do Wadowic.

Franciszek wybrał się do domu. Na miejscu zastał zgliszcza w całej wsi, ruiny kościoła. Na swojej posesji nic poza studnią i gruszą nie zastał. Opowiadał potem, że wydawało mu się, że tego nie wytrzyma, że nie zdoła wrócić do swojej rodziny w Porębie. Ale wrócił i opowiedział wszystko swojej żonie. Przepłakali całą noc. Do czego mają wracać, jak dalej żyć? Potem jednak zaczęli się nawzajem wspierać. - Tam jest nasza ojcowizna, musimy tam wracać. Przecież Pan Bóg nam jakoś pomoże - mówili sobie. Wrócili do domu furmanką, ale bez krowy. Krowę później przyprowadziła Helena. Franek przez zimę młócił u ludzi, dostał za to po dwa worki pszenicy, żyta i owsa. Helena upiekła cztery bochenki chleba i tak dotarli do Wadowic Górnych. Niektóre z dzieci sypiały w oborze u Midury, inne w stodołach u innych sąsiadów, jakoś przetrwali przy pomocy dobrych ludzi. Mama Franciszka, Apolonia, na wieść o stratach, jakie dotknęły syna, zaraz pospieszyła z pomocą i zaoferowała połowę swojego domu. „My sobie jakoś poradzimy, a wy musicie jakoś zimę przetrwać, przecież w tych stodołach zimy nie przetrzymacie” - powiedziała. Przewieźli więc pół domu, do tego z lasu przetransportowali trochę drewna i dobudowali oborę i szopę. Bracia, siostry, kuzyni i wszyscy, którzy nie ucierpieli w wojnie, ofiarowali im pomoc: a to parkę prosiąt, a to króliki, kury, kaczki, trochę słomy, siana, nawet obornika. Ktoś przekazał im nawet żarna.

Przyszła pora, aby uporządkować pole. Trzeba było pozasypywać leje po pociskach od katuszy, bo nadeszła pora siania oziminy. Franciszek i Helena trochę się obawiali min, których sporo na polach pozostawało, ale pole pod uprawy trzeba było przecież przygotować. Dwie córki, Julię i Stanisławę, wysłali na zimę na służbę do Woli Mieleckiej. Gdyby wszyscy zostali, rodzina zimy mogłaby nie przetrwać. Dziewczynki ciężko pracowały i zarobiły po worku zboża. Tym zbożem można było obsiać resztę ziemi na wiosnę 1946 r.

Stanisławie przytrafił się fatalny wypadek. Podczas wybierania zboża ze spichlerza, stąpnęła gołą stopą na kosę. Rana na nodze była bardzo głęboka i bardzo długo się goiła.

Henryk z Bronkiem poszli po wojnie własnymi drogami. Bronisław ożenił się z Janiną łaz z Kawęczyna. W tej miejscowości zamieszkali i zaczęli gospodarować na własny rachunek. Henryk wyjechał do Tarnowa, gdzie rozpoczął pracę w milicji. Cała reszta rodziny musiała zacząć wszystko od nowa. Każdy musiał się odnaleźć w tej nowej, jakże dramatycznej sytuacji. Wiosną 1946 roku Julcia i Stasia dołączyły do rodziny i zaczął się trochę lepszy okres w życiu rodziny. Mieli już dwie krowy, obie zacielone. Króliki mnożyły się w błyskawicznym tempie, a jeszcze szybciej rosły. Żniwa były obfite w zboża, a jesień przyniosła urodzaj ziemniaków. Wszyscy razem od świtu do zmroku ciężko pracowali i cieszyli się z każdego małego sukcesu. Młodsze dzieci chodziły do szkoły, dobrze się uczyły, zwłaszcza Marysia, która była bardzo zdolna, a na dodatek pilna i poslušna. Gdy nauczyciel kazał się nauczyć czterech zwrotek 16-zwrotkowego wiersza, ona uczyła się go w całości. Dziewczynka wykorzystywała do czytania książek i odrabiania lekcji każdą chwilę, zwłaszcza czas pasienia krów.

Stasia po ukończeniu szkoły podstawowej wyjechała, aby kształcić się na księgową. Po szkole rozpoczęła pracę w mieleckim PSS, była kasjerką. Była bardzo urokliwą kobietą, miała więc powodzenie u kawalerów. Julia myślała o swojej przyszłości i widziała się w większym mieście. Marzyła, aby prowadzić sklep. Bronia z Romanem byli jeszcze mali, ale na równi ze starszymi pracowali w gospodarstwie. Hania ukończyła dwutygodniowy kurs kroju i szycia, okazało się przy okazji, że ma do tego talent. Szyła i przyszywała swoim najbliższym ubrania do komunii świętej, a gdy trzeba, to i suknię ślubną. Henryk ożenił się z Karoliną Miśko, a Julia wyszła za mąż za Antoniego Kuliga. Rodzą się pierwsze wnuki: Karol u Henryka, Irena u Julii i Henryka Salomea i Adam u Bronisława w Kawęczynie. Henryka i Salomea nie przeżywają wieku niemowlęctwa.

Śmierć Franciszka

Franciszek pracował od świtu do nocy, a gdy wieczorem wracał z pola, to zawsze śpiewał Anioł Pański. Ale z jego zdrowiem nie jest najlepiej, ciągle bolał go brzuch, nie mógł jeść. Wszyscy się tym zamartwiają, a Helena gotowała mu ciągle lane kluski na mleku, bo po tym jakoś mniej go boli. W sierpniowe popołudnie 1953 roku Franciszek wracał z pola od żniw, gdy dostał ataku bólu brzucha. Pogotowie ratunkowe zabrało go do mieleckiego szpitala w poniedziałek. W środę umiera w wielkich cierpieniach w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat. Smutek z powodu tej nagłej i niespodziewanej śmierci jest tak duży, że najbliżsi nie mogli nawet płakać. Ksiądz Tadeusz Stroschneider, proboszcz parafii w Wadowicach Górnych, nie wziął ofiary za uroczystości pogrzebowe Franciszka Burego, w uznaniu za długoletnią jego pracę w Radzie Parafialnej. Kilka dni później i ksiądz, całkiem nagle i niespodziewanie, umarł.

Roman miał wtedy dwanaście lat, dziewczyny były trochę starsze. Marysia z Bronią uczyły się w Liceum Ogólnokształcącym w Mielcu, Stasia pracowała dalej w PSS w Mielcu, a Hania z mamą i Romanem zostali sami na gospodarstwie. Wtedy to Anna odkryła, jak wielką pracę wykonywał ich ojciec. Część prac polowych wziął na swoje barki młody Romuś, czasem pomagał im w polu brat Bronisław z Kawęczyna, a część prac odrabiać musiała Anna, która szła po nocach, nieraz z mamą. Kiedy jesienią wszyscy udawali się do swoich obowiązków, do szkoły czy pracy, ona wywoziła w pole obornik. Nieraz bywało to i pole przebendowskie, oddalone o dwa kilometry od domu, gdzie mieli część gospodarstwa. Wóz rachwiak, na który kładła obornik, miał drewniane koła. Któryś razem wjechała w rozmokłe pole, a koń zaczął szarpać, pourywał postronki i zakopał wóz w błocie. Hania zaczęła strasznie płakać. Wydało jej się, że już nie da rady. Zostawiła wóz w polu, a konia przyprowadziła do domu. Tam dopiero zobaczyła, że wszyscy się o nią martwili, więc uśmiechnęła się. Na drugi dzień było lepiej.

Siostry Bronia i Marysia mieszkały na stacji w Mielcu. Ludzie do pracy dojeżdżali na przyczepach aut ciężarowych, więc z transportem było ciężko, a z pieniędzmi jeszcze gorzej. W połowie tygodnia z Wadowic Górnych Hania szła więc piechotą do Mielca. Nosiła siostrom chleb, ziemniaki, mleko i mąkę. Gotowała zacierkę na mleku czy placki ziemniaczane, a wieczorem wracała do domu. Stasia kupowała rodzinie materiały na ubrania, a Hania brała miarę i szła. Rodzina szczególnie wyczekiwała na dzień wypłaty Stasi, bo ta miała zwyczaj kupować z tej okazji torbę cukierków i bułki drożdżowe.

Gdy Hanusię pytano o ślub, mówiła, że będą dwa naraz. Bardzo chciała, aby jej ślub odbył się razem ze ślubem Stasi. Tak też się stało. Hania kochała wszystkie swoje siostry, były to zresztą piękne i dorodne kobiety. Stasię jednak zawsze miała głęboko w sercu. Wiele lat później uważała ją za świętą. Stasia bowiem przez większość swego małżeńskiego życia opiekowała się swoim chorym na stwardnienie rozsiane i niepełnosprawnym mężem Władysławem Tabaką. Jednak obie pary doczekały złotych godów. Tabakowie wychowali trójkę dzieci: Tadeusza, Halinę i Józefa. Tadeusz ożenił się z Aleksandrą Węgrzyn, a Halina wyszła za mąż za Jerzego Przybylińskiego. Mają po dwoje dzieci, Tadeusz - Marcina i Piotra, a Halina - Tomka i Kasię. Natomiast Józef jest duchownym, proboszczem parafii św. Brata Alberta i kapłanem więziennym w Kamińsku.

Hania z Bronisławem doczekali się trzech synów. Eugeniusz żonaty jest z Haliną Leśniak, z którą mają dwie córki: Anię i Madzię. Janusz żonaty jest z Janiną Mazgaj, mają troje dzieci: Ewelinę, Krystiana i Łukasza. Fryderyk ma żonę Dorotę Pazdro i córkę Paulinę.

Małżeństwo Julii, z blisko siedemnaście lat starszym Antonim Kuligiem, nie ułożyło się. Duża różnica wieku sprawiła, że małżeństwo nie wytrzymało próby czasu. Julia miała niełatwe życie, sama musiała wychować i wykarmić dwoje dzieci: Irenę i Kazimierza. Kiedy opuszczała swój dom, zostawiła cały dobytek. Wzięta dzieci i obraz Matki Bożej Karmiącej. I rzeczywiście, Matka Karmiąca nigdy nie pozwoliła, aby kiedykolwiek byli głodni.

Irena wyszła za mąż za Andrzeja Czerwińskiego i mają jedną córkę: Monikę. Kazik ożenił się z Joanną i mają syna Krzysztofa i córkę Magdalenę.

Małżeństwo Broni nie należało do łatwych. Kłopoty z obrobieniem dużego gospodarstwa nakładały się na problemy z alkoholem, które miał jej mąż, Stanisław. Mają dwóch synów: Wiesława, żonatego z Pauliną Tabisz oraz Henryka, żonatego z Anną Wach. Wiesław ma córkę Kasię, a Henio ma syna Jansona. Roman ożenił się z Zofią Migą i mają dwie

córki: Beatkę i Basię. Beata jest żoną Winicjusza Cyborana i mają dwóch synów: Marka i Bartka. Basia jest żoną Piotra Ozimka i mają syna Michała i córkę Agnieszkę.

Roman miał trudne dzieciństwo, urodził się podczas wojny. Dużo starsi bracia poszli swoją drogą, a ojca stracił w wieku dwunastu lat. Romek korespondował z bratem z Kawęczyna... za pomocą gołębia pocztowego. W domu rodzinnym mieszkał wspólnie z siostrą Hanią aż do swojego ślubu, który wziął przed trzydziestką. Pracował na pogotowiu, potem w Sanepidzie. Zawsze uważany był za duszę towarzystwa, za człowieka, który jest wszystkim pomocny. Wszyscy w rodzinie zgodnie twierdzą, że nie ma takiego towarzystwa, nawet najbardziej sztywnego, którego by Roman, zwłaszcza „w parze” z wujkiem Stefanem Balonem, nie umieli rozbawić śmiechem i humorem. Roman reżyserował przez wiele lat wadowicką kołędę bożonarodzeniową, współpracując z kolejnymi rocznikami młodzieży wadowickiej. Jest też członkiem chóru parafialnego.

Bronisław Bury, najstarszy syn Franciszka i Heleny, część wojny spędził na robotach w Niemczech, z których próbował ucieczki. W drodze do domu, którą pokonywał pociągiem, nakryli go żołnierze SS. Chciał przed nimi uciec, więc wyskoczył z ostatniego wagonu pędzącego pociągu. Poraniony i połamany został przewieziony do niemieckiego szpitala. Pytano go, skąd się tam wziął, a on na to, że jechał jako ochotnik do pracy do Niemiec. Broniek był blondynem, a w szpitalu brakowało pracownika do różnych prac, zostawili go więc i wykurowali. Wiele się tam napatrzył na pracę niemieckich lekarzy i ich eksperymenty. Po wojnie wrócił i ożenił się z Janiną Łaz. Wychowali pięcioro dzieci: Adama, Barbarę, Grażynę, Wiesława i Albinę. Adam ożenił się ze Stanisławą i mają syna Pawła i córkę Małgorzatę. Basia wyszła za Waclawa Migę i mają córkę Kasię i dwóch synów: Wojciecha i Marcina. Grażyna ze swoim mężem Stanisławem Koziółem mają trzy córki: Justynę, Klaudię i Kingę. Wiesław ożenił się z Krystyną Bigdą i mają dwóch synów: Dawida i Arkadiusza. Natomiast Albina jest żoną Kazimierza Skiby i mają córkę Joannę i syna Łukasza. Bronisław Bury był wzorowym rolnikiem. Odnalazł się w także w polityce. Był posłem na sejm dwóch kadencji, a później radnym wojewódzkim.

Henryk ożenił się z Karoliną Miśko. Mają dwóch synów, Karola i Ryszarda i córkę Mariolę. Karol ożenił się z Jadwigą i mają dwóch synów: Andrzeja i Macieja. Ryszard ożenił się z Dorotą Koperską i mają też dwóch synów Tomka i Michała. Mariola wyszła za Stanisława Piekarczyka. Mają dwóch synów: Łukasza i Mateusza. Henryk pracował jako dyrektor mleczarni w Myślenicach, jako komendant milicji w Zakopanem, a po przejściu na emeryturę był do późnych lat kuratorem sądowym.

Maria nie założyła rodziny, ale zawsze wszystkim, w miarę możliwości, pomagała. Pracowała w czytelnicy w Pasłęku. A swoją pracę wykonywała bardzo sumiennie.

Dla Heleny nie było sprawy nie do załatwienia. Kiedy dwie córki, Maria i Bronia, uczęszczały do liceum w Mielcu, ktoś życzliwy napisał na nich anonim, że jako kułakom nie należy się, aby ich dzieci się kształciły. Dyrektor szkoły wyrzucił więc Bronię w trakcie roku szkolnego. Cóż ta młoda piękna dziewczyna mogła wtedy czuć? Bardzo chciała się przecież uczyć. Wydawało się, że nie ma szans na odwrócenie tej sytuacji. W tym czasie Helena spotkała swoją koleżankę, nauczycielkę Zofię Prade, która powiedziała jej: „Heleno, wyście sobie nigdy nie pozwolili, a teraz sobie pozwolicie? Jeżeli tutaj nie dacie rady, jedźcie do Rzeszowa”.

I Helena pojechała do kuratorium do Rzeszowa. W sekretariacie chcieli ją zbyć. Powiedzieli, że szefa nie ma i nie wiadomo, kiedy będzie i że pismo w tej sprawie nie wpłynęło. Helena nie dała jednak za wygraną i postanowiła poczekać. Każdego z przechodzących pytała o kuratora. Po czterech godzinach oczekiwania trafiła na właściwą osobę. Kurator, widząc determinację Heleny, poprosił o dokumenty, które od miesiąca... leżały w biurku sekretarki. Ta skrętnie je tam skrywała. Sprawa została w trybie natychmiastowym załatwiona i Bronia mogła wrócić do szkoły.

Helena była mistrzynią dyplomacji, ale też, kiedy trzeba było ostro wkroczyć do akcji, robiła to bez wahania. Po śmierci swojego męża Franciszka i przekazaniu sterów gospodarstwa córce Hani i jej mężowi, Bronisławowi, oddała się bezgranicznie wnukom, które kochała ponad wszystko i rozpieszczała na miarę czasów i możliwości. Helena opowiadała im przeżycia z młodości oraz historię swojej rodziny. Chciała, aby zapamiętali i przekazali potomnym. Czasami, w wolnych chwilach, wróżyła z specjalnych kart, co było nie lada atrakcją dla dorastających wnuków. Jej przyjaciółmi stają się koleżanki i koledzy jej wnuków. Wszystkie wnuki były jej wielką dumą, ale wyjątkową satysfakcją sprawił jej Józef Tabaka, który podjął studia w Seminarium Duchownym w Olsztynie. Niestety, nie doczekała jego święceń kapłańskich. 18 sierpnia 1986 r. zmarła w wieku osiemdziesięciu pięciu lat. Przez całe życie Helena miała jedną jedyną przypadłość: czasami mdlała w kościele, szczególnie pod wpływem zapachu kadzidła lub palącej się świecy. Po śmierci swojego męża długo nie mogła dojść do siebie, miała wtedy pięćdziesiąt dwa lata. Miesiąc po śmierci Franciszka pustka wciąż była tak wielka, że nie wiedziała, jak poradzić sobie z faktem, że patrzy w drzwi i nie widzi powracającego z prac polowych męża. Lekarstwem stał się różaniec. Po kilku dziesiątkach sen sam przychodził.

Helena była wielką osobowością w rodzinie Burych i Szalickich, z którymi utrzymywała stały kontakt, jak nie osobisty, to korespondencyjny. Na pewno pozostanie w pamięci nas wszystkich jako wspaniały człowiek.

IV. Pradziadkowie Piotr i Wiktoria Szalicy

Helena urodziła się w 1901, jako piąte dziecko. Gdy przyszła na świat, jej rodzice, Piotr i Wiktoria Szalicy, byli już po czterdziestce. Jej ojciec miał czterdzieści pięć lat, mama była o dwa lata młodsza.

Helena i Franciszek wzięli ślub w 1921 roku. Nie obyło się przy okazji bez kłopotów. Ksiądz proboszcz parafii wadowickiej nie chciał bowiem dać im ślubu bez bardzo dużego - jak na owe czasy - okupu. Chodziło mu o to, żeby orkiestra nie grała po zachodzie słońca, dowiedział się bowiem, że odtrąceni konkurenci szykowali się do wielkiej bójki, aby dać nauczkę panu młodemu. Franciszek pochodził z zamożnej, jak na owe czasy, rodziny z Pnia (nieduża wieś koło Radomyśla Wielkiego, oddalona o kilka kilometrów od Wadowic Górnych). Miejscowi adoratorzy, których Helena nie chciała, postanowili wesele „rozgonić” i w ten sposób odgryźć się na przybłędzie z Pnia. Gdy dowiedział się o tym ksiądz proboszcz, w obawie przed bójką, zażądał od rodziców Heleny okupu w wysokości ceny konia, pod groźbą niedania ślubu. Szalicy pieniądze dali, ślub i wesele się odbyły. Helena wyglądała prześlicznie, czarne, gęste włosy sięgały jej aż po biodra, a duże, piękne oczy oprawiały czarne, krzaczaste brwi. Miała piękną i wypielęgowaną twarz. Wesele było huczne, choć trwało tylko do zachodu słońca. Wadowiaczy jednak nie odpuścili. Nie udało zrobić się rozróby, to na złość pucinali lejce koniom, którymi przyjechała rodzina Franciszka. Dwa lata później Jan, który był przewodnikiem rozróby, ciężko zachorował. Poprosił wtedy Franka i przeprosił go. Zwrócił też pieniądze za zniszczoną uprzęż. Jak później mówiła jego rodzina, zrobił tak, bo nie mógłby umrzeć spokojnie.

Helena była piękną i bardzo wesołą kobietą. Odziedziczyła też po rodzicach piękne gospodarstwo z zabudowaniami. Trudno więc się dziwić, że miała wielu adoratorów. Nie mogła jednak kierować się tylko sercem. Chłopak bez majątku w ogóle nie mógł być brany pod uwagę. Kiedy przychodził do niej w konkury przystojny, wysoki brunet Marcin, który był w nią wpatrzony jak w obraz, wszyscy sąsiedzi mówili, że takiej pięknej pary to jeszcze Wadowice nie widziały. Helenie Marcin, owszem, też się podobał, tylko że nie miał ani jednej morgi, więc Helena z bólem serca odesłała go, żeby nie robił sobie nadziei. Przychodzili następni zalotnicy, każdy przynosił butelkę okowity, którą wypijał z rodzicami Heleny, ale żaden z nich nie został przyjęty przez Helenę. W razie odmowy stratę, czyli butelkę okowity, należało oddać zalotnikowi. Oj, ileż tych butelek się Piotr Szalicki, ojciec Heleny, naodnosił! Helena wychowywana była jak jedynaczka. Jej rodzeństwo, czyli Anna Kubik, Kazimierz, Katarzyna Czepiel, Jan wyemigrowało do USA i tam, poza Anną Kubik, która wróciła i zamieszkała w Otałęży, pozostali. Kurierem, z którym przekraczali granicę i dostali się na statek, była Węgrzynka. Pomogła wielu osobom dotrzeć do Ameryki. Przewoziła swoich pociągami raz w przebraniu zakonnicy, raz nauczycielki, itd. Z tamtej trójki Helena pamiętała tylko Jana, który wyemigrował do Ameryki w 1910 roku.

Piotr i Wiktoria Szalicy byli zubożałymi szlachcicami. Dobrze im się powodziło, więc Helenie w latach dzieciństwa na nic nie żalowali. Co tydzień jeździli na targ do Mielca i przywozili małej Heli cytrusy i słodycze. Było to w czasach, kiedy Wadowice Górne były pod zaborem austriackim. Helena uczyła się bardzo dobrze, miała świetną pamięć i talent do języków. Po ukończeniu szkoły powszechnej nauczyciele skierowali ją do gimnazjum, ale rodzice nie zgodzili się. Nie chcą zostać sami. Helena została więc w domu i pomagała w gospodarstwie. Sielankę zakończył wybuch I wojny światowej. Rodzice mają już blisko 60 lat, bardzo źle znoszą wydarzenia wojny. Najpierw do Wadowic weszli Rosjanie, potem Niemcy i Austriacy zarekwirowali konie, krowy i świny, płacąc kwitami za pół ceny. Potem znów wrócili Rosjanie... I tak w kółko. Rodzice, tak jak i inni, nie dawali rady zebrać z pół roślin okopowych. Wszyscy byli zastraszeni, panował dyktat wojskowy.

Gdy wreszcie przyszedł dzień odzyskania wolności, prawdziwej wolności, bo przecież wszyscy urodzili się w niewoli, radość była wielka. Rodzice zajmowali się pracą i czekaniem na zięcia, aby wraz z Heleną przejął po nich schedę.

V. Historia prapradziadków, Michała i Agnieszki Bardanów, dziadków Franciszka Burego

Kiedy umarł stary kowal, ojciec Agnieszki szukał następcy. Rozpuścił wici, bo wtedy o kowala łatwo nie było, a w kuźni czekało tyle pracy, tyle koni było do podkucia, tyle lemieszów do wyklepania. Różni kandydaci się zgłaszali, żaden nie nadawał się jednak do tak wielkiego majątku.

O posadzie dowiedział się też Michał Bardan i w marcowy poranek zawitał w domu rodziców Agnieszki. Do obiadu zdołał już podkuć trzy konie. Był młody, zdrowy, miał budowę atlety, do tego kruczoczarne włosy. Z umiejętności przypadł do serca ojcu gospodarzowi, z urody spodobał się Agnieszce. Dziewczyna była jedynaczką, urodziła się w 1855 roku. Ojciec był zarządcą na dworze, powodziło im się doskonale. Ojciec marzył o wielkim świecie dla córki, która była piękna, mądra i wykształcona. Kiedy szła, wydawało się, że płynie, a jej blond włosy, zaplecione w warkocz, niebieskie oczy i delikatny owal twarzy niejednemu chłopakowi w okolicy sniły się po nocach. Nic dziwnego, że i

Michał w moment trafiony został strzałą Amora, Agnieszka za to na jego widok dostawała rumieńców na twarzy. Serce mówiło jedno, rozum doradzał drugie... Jak to pogodzić? Agnieszka pod różnymi pretekstami wykradała się z domu, aby spotkać się z Michałem. Starali się, aby rodzice nie nabrali podejrzeń.

Pewnego majowego wieczora, gdy Agnieszka wracała z majówki, spotkała Michała. Ten przytulił ją do siebie. Usiedli na rowie, słuchali rechotania żab i śpiewu ptaków. Byli młodzi, piękni, niewinni. Michał powiedział dziewczynie, że żyć bez niej nie może, a Agnieszka przyznała, że odwzajemnia jego uczucia. Zastanawiali się, jak rozmówić się z rodzicami. Martwili się, co powiedzą na wieść o tym, że ich córka planuje mezalians. Ostatecznie młodzi jednak nie zdradzają sekretu, ale rodzice Agnieszki powzięli jakieś podejrzenia, więc przystępują do działania. Do domu zaczynają zjeżdżać kawalerowie w konkury. Agnieszka była dla nich oschła, co denerwuje ojca. Służąca zdradza rodzicom, że młodzi urządzają sobie schadzki. Rodzice mieli rozdarte serce... Bardzo kochali córkę. Nie potrafili wyobrazić sobie tej delikatnej, wrażliwej dziewczyny w roli żony kowala. Z drugiej strony Agnieszka była tak zakochana w Michale, że świata poza nim nie widziała, żaden kawaler, który przyjeżdżał, nie był jej w stanie ani na chwilę odciągnąć od Michała. W końcu rodzice dali za wygraną i przekazali córce sto dwadzieścia mórg ziemi, dwanaście krów, cztery konie i jeszcze wiele dobra w posagu. Agnieszka z Michałem kochali się bardzo.

Owocem tej miłości młodych Bardanów było dziewięć córek: Apolonia, Anna, Maria, Wiktoria, Aniela, Łucja, Bronisława, Jadwiga, Julia i trzech synów: Jan, Jakub i Franciszek. W ciągu ponad dwudziestu lat Agnieszka urodziła dwanaścioro pięknych, dorodnych dzieci, ale sama musiała bardzo ciężko pracować. Michał zajmował się handlem bydłem. Przebierał się podobno za dziada, gdy szedł na targ, aby go złodzieje nie okradli. Na targu handlował dziesiątkami sztuk krów czy byków. Agnieszka w tym czasie zajmowała się dziećmi i musiała dopilnować całego dobytku. A było czego pilnować, w gospodarstwie było bowiem kilkadziesiąt krów i kilkanaście koni. Pomagają jej co prawda dzieci i służba, ale z czasem najstarsze dzieci zakładają swoje rodziny, a Agnieszka rodzi kolejne maluchy. Ostatnie maleństwa przyszły na świat mniej więcej w tym samym czasie, co dzieci jej najstarszych córek. Niestety, wraz z przyjściem na świat dwunastego dziecka wydarzył się dramat. Agnieszka dostała gorączki. Lekarze nie byli w stanie pomóc. Kobieta umarła w wieku czterdziestu czterech lat.

VI. Historia prapradziadków, Kazimierza i Anny z d. Balon Szalickich - rodziców Heleny Bury

Ojciec Piotra, Kazimierz, jako młody panicz z dworu, osadzonego na trzech wsiach za Wisłą został podczas rabacji przez chłopów w 1846 uбитy i wygnany. Uciekł do Wadowic Górnych bo sił już dalej uciekać nie miał, a zaczynała świtać. Zobaczył piękne zabudowanie, bo przecież do zagrody chłopskiej wstąpić nie mógł, więc zastukał. Otworzyła mu niemłoda kobieta, Anna Balon. Okazało się, że jest wdową po wójcie. Zaopiekowała się Kazimierzem. Codziennie w tajemnicy przed chłopami kąpała go w korycie do pojenia krów. Anna była kobietą bardzo odważną. Wiedziała, co stało się w Wadowicach Górnych. Chłopi zaatakowali pewnej nocy dwór Osuchowskich, którego dzierżawcą był Aczkiewicz. Udało mu się zbiec i ukryć się w lesie trzciańskim. Po kilku dniach chłopci z Trzciany znaleźli go, poznali, bo przecież słyszeli, jak codziennie wołał „rana a rano” do odrabiania pańszczyzny. Zawlekli umarznętego Hipolita Aczkiewicza do karczmy i tam go zabili, a z dworu wszystko zrabowali. Wdowa po Aczkiewiczzu została więc o niczym z gromadką dzieci. Anna Balon wiedziała o wszystkim i bała się, że ktoś o jej gościu chłopom doniesie. Gdyby się tak stało, różnie by się to skończyć mogło. Ale stało się inaczej. Opieka nad Kazimierzem zakończyła się ślubem i wychowywaniem czwórki potomstwa. Oprócz Piotra urodziły im się trzy dziewczynki: Marianna (potem Kulig), Apolonia (Midura) i Katarzyna (Setera).

VII. Józef Bury, brat dziadka Franciszka

Józef Bury urodził się 8 lutego 1916 roku w Pniu (gmina Radomyśl Wielki, woj. podkarpackie), jako syn Karola i Apolonii z domu Bardan. Po ukończeniu szkoły średniej i zdaniu egzaminu dojrzałości w 1934 r., rozpoczął studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Po czterech latach, w 1938 r. zdobył tytuł magistra praw, po czym powrócił w rodzinne strony i rozpoczął aplikację administracyjną w Urzędzie Gminy w Wadowicach Górnych. Od stycznia do sierpnia 1939 r. pracował na stanowisku sekretarza Urzędu Gminy w Padwi Narodowej, a następnie w Urzędzie Gminy Czermin.

Gdy we wrześniu 1939 roku, wybuchła II wojna światowa, stanął do walki w kampanii wrześniowej jako podporucznik rezerwy 34 pp. W wyniku klęski, poniesionej przez polskie siły zbrojne, Józef Bury, ratując się przed rozbrojeniem i obozem jenieckim, udał się w rodzinne strony. W grudniu 1939 r. powrócił do domu rodzinnego, jednak nie mógł tam zostać zbyt długo, ponieważ 24 grudnia mieleckie gestapo usiłowało go aresztować. Od tego dnia aż do końca okupacji hitlerowskiej musiał się ukrywać, a w jego domu rodzinnym regularnie, o różnych porach dnia i nocy, gestapo przeprowadzało przeszukania połączone z biciem członków jego rodziny. Na skutek jednego z takich najść i pobić zmarł jego ojciec, Karol Bury. Przebywając w ukryciu, Józef Bury nie tylko chronił się przed aresztowaniem, ale

czynnie organizował partyzancki ruch oporu przeciwko okupantowi. Na terenie Wadowic Górnych założył placówkę Związku Walki Zbrojnej o nazwie „Rokitna”. Dowodził nią, przyjmując kryptonim „Dąbał”. W styczniu 1941 r. doszło do połączenia placówek ZWZ „Rokitna” z placówką o kryptonimie „Rezeda” działającą na terenie Radomyśla Wielkiego. Powstała placówka o kryptonimie „Roman”, a jej dowódcą został Józef Bury, pseud. „Dąbał”, który także objął dowództwo I kompanii radomyskiej. Po kilku miesiącach dowodzenia musiał wyciszyć swoją działalność partyzancką, ukrywając się przed dość intensywnie szukającym go gestapo. Jego miejsce zajął Marian Ziętkiewicz pseud. „Halny”. Zimą 1941 roku gestapo rozpracowało placówkę radomyską. Aresztowano 56 osób, w tym dowódcę, „Halnego”. Aresztowani partyzanci po okrutnym śledztwie trafili do obozów koncentracyjnych lub ponieśli śmierć. Ci żołnierze, którzy pozostali na wolności, nie zrezygnowali z walki na rzecz wolności Polski.

Dowództwo placówki przejął Józef Bury, zmieniając swój pseudonim z „Dąbał” na „Mocny”. Po krótkim czasie, na prośbę Józefa Burego, dowództwo przejął Lucjan Woźniak, pseud. „Grott – Szczerba”. Posiadał on dużą wiedzę z zakresu taktyki wojskowej, potrafił też prowadzić szkolenia żołnierzy partyzantów. W 1941 roku, kiedy ZWZ został przemianowany na Armię Krajową, wszyscy żołnierze należący do grupy radomyskiej zostali członkami tej formacji, także Józef Bury. Działania radomyskich oddziałów Armii Krajowej ukierunkowane były w szczególności na zabezpieczanie i podejmowanie zrzutów broni i lekarstw z samolotów alianckich, a także na atakowaniu niemieckich składów broni i pozyskiwaniu z nich broni i amunicji, oraz na likwidowaniu patroli hitlerowskich. Podczas akcji „Burza” Józef Bury dowodził częścią oddziałów AK, których działania skoncentrowane były na atakowaniu małych oddziałów wycofujących się wojsk niemieckich i odbieraniu im broni. Stworzonym na te potrzeby Oddziałem Partyzanckim „Zawierucha” (60 żołnierzy) dowodził Lucjan Woźniak o pseudonimie „Grott- Szczerba”, a na potrzeby tej akcji przyjął pseudonim „Zawierucha”. Jego zastępcą był Józef Bury, pseud. „Mocny”.

8 sierpnia 1944 roku, w obliczu zbliżających się wojsk Armii Czerwonej, Lucjan Woźniak, pseud. „Zawierucha”, rozwiązał oddział partyzancki „Zawierucha” liczący wtedy 30 żołnierzy, a dowództwo nad placówką radomyską Armii Krajowej przekazał Józefowi Buremu, pseud. „Mocny”. Po wkroczeniu wojsk Armii Czerwonej wyżej opisani żołnierze Armii Krajowej powrócili do swoich domów. Józef Bury powrócił do Radomyśla Wielkiego, gdzie 15 października 1944 r. zawarł związek małżeński z Danutą Koneczną. Z Radomyśla Wielkiego przeniósł się wraz z żoną do Dulczy Wielkiej, a stamtąd do Padwi Narodowej, gdzie objął stanowisko sekretarza gminy tamtejszego Urzędu Gminy. Z małżeństwa tego urodziło się jedno dziecko. 28 lipca 1945 r. przyszła na świat córka Anna. Niedługo cieszył się z odzyskanej przez Polskę niepodległości. Już w styczniu 1945 roku został aresztowany przez NKWD pod zarzutem działania na szkodę wkraczających wojsk sowieckich i nielegalnego posiadania broni, choć prawdziwym powodem była jego przynależność do Armii Krajowej. Po przesłuchaniach został zwolniony z aresztu. Kolejne represje rozpoczęły się już 10 kwietnia 1945 r. Został wtedy aresztowany przez Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Rzeszowie, pod zarzutem nielegalnego posiadania broni. Początkowo został osadzony w Mielcu, a następnie w więzieniu na Zamku w Rzeszowie i w więzieniu w Tarnowie. Jego rodzina nie wiedziała, gdzie przebywa, ani co się z nim dzieje. Po kilku miesiącach żona otrzymała informację od funkcjonariusza Urzędu Bezpieczeństwa, że Józef Bury nie żyje. Przeżyła załamanie nerwowe. Wiadomość okazała się jednak nieprawdą.

W 1947 r. Józef Bury opuścił więzienie, dzięki nieustannym staraniom rodziny oraz Episkopatu Polski. Jednak stan jego zdrowia psychicznego i fizycznego był bardzo ciężki. Waga jego ciała wynosiła zaledwie 40 kilogramów. Był to człowiek zmaltretowany psychicznie, zastraszonego do tego stopnia, że nie chciał nawet swoim najbliższymi opowiedzieć, co przeżył w więzieniu. Dopiero po kilku latach zdał częściową relację swojej żonie, nakazując jej zachować to w największej tajemnicy. Po długim okresie leczenia i rekonwalescencji, chciał wrócić do normalnego życia i starał się podjąć zatrudnienie. Jako osoba naznaczona więzieniem i dzięki staraniom Urzędu Bezpieczeństwa nigdzie nie chciano go zatrudnić, pomimo że posiadał wykształcenie wyższe prawnicze, a osób o takich kwalifikacjach było w ówczesnej Polsce niewiele. Zmuszony koniecznością zdobycia środków na utrzymanie rodziny i wysokimi kosztami leczenia schorzeń, nabytych podczas pobytu w więzieniu, produkował zabawki dla kramarzy odpustowych. W tym czasie cały czas był inwigilowany, kontrolowany przez Urząd Bezpieczeństwa i traktowany jako niebezpieczny wróg władzy ludowej i działacz opozycji demokratycznej. Jego rodzina żyła w skrajnej nędzy, często cierpiąc głód. Długi pobyt w więzieniu, wywołana tym faktem duża nerwowość Józefa, odbiła się negatywnie na jego małżeństwie. Małżonkowie rozwiedli się kilka lat po jego wyjściu z więzienia. Represje i upokarzanie Józefa Burego trwały aż do 1956 roku, kiedy po dojściu do władzy Władysława Gomułki nastąpiła zmiana podejścia do żołnierzy Armii Krajowej. Józef Bury podjął wtedy pracę w administracji Urzędu Miasta w Krakowie, następnie przeprowadził się do Warszawy i najął jako Radca Prawny w Stołecznym Przedsiębiorstwie Energetyki Ciepłej, gdzie przepracował aż do emerytury. W Warszawie zawarł związek małżeński z Krystyną Bury (zamieszkałą w Warszawie). Z tego małżeństwa urodził się syn, Piotr Bury.

Za swoją działalność został odznaczony: Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Armii Krajowej, Odznaką Weterana Walk o Niepodległość. Zmarł 19 października 1996 r. w Warszawie

VIII. Bronisław Bury, brat Anny Kapinos

Bronisław Bury zmarł 19 marca 2011 roku w Szpitalu Powiatowym w Mielcu. Do szpitala trafił po tym, jak załapał w domu. Podczas tych kilku dni, które spędził w szpitalu, odwiedziła go cała najbliższa rodzina. Mimo swojego sędziwego wieku (88 lat), nadwyrężonego zdrowia, snuł plany na przyszłość. W czerwcu 2010 roku odwiedziliśmy wujka Bronisława razem z moim bratem Janusze - chrześniakiem wujka. Byliśmy pod wielkim wrażeniem jego pamięci. Wspominał dawne czasy, ale i w obecnej sytuacji miał dobre rozeznanie.

Wujek Bronisław był człowiekiem uczciwym i bardzo pracowitym. Spieszył z pomocą każdemu, kto tej pomocy potrzebował. Do tego nigdy nie opuszczał go dobry humor. Drzwi ich domu się nie zamykały od interesantów, a on do każdego podchodził z sympatią i każdemu pomagał, jak tylko mógł najlepiej. Życie go nie rozpieszczało. Podczas II wojny światowej był na przymusowych robotach w Niemczech. Przeżył tam ciężki wypadek. Kiedy wreszcie wrócił do rodzinnego domu, zamiast gospodarstwa zobaczył... studnię i gruszę. Tyle zostało po całym gospodarstwie rodziców. Cieszył się, że rodzeństwo i rodzice przeżyli. Pomagał w odbudowie domu rodzinnego, a w 1946 roku ożenił się z Janiną Łaz z Kawęczyna.

Urodziło im się ośmioro dzieci, w tym trojaczki. Trójka z nich nie przeżyła wieku niemowlęctwa. Byli to: Salomea, Henryka i Fryderyk. Bronisław realizował się jako ojciec dla pozostałej piątki: Adama, Barbary, Grażyny, Wiesława i Albiny, a potem jako dziadek dwunastu wnucząt. Razem z żoną pracowali w dużym gospodarstwie rolnym. Hodowali bydło, owce, trzodę chlewną. Uprawiali zboże, buraki cukrowe, tytoń i truskawki. Bronisław był wzorowym rolnikiem. Mimo tylu obowiązków, angażował się społecznie w życie swojej wsi, gminy, powiatu, województwa i kraju. Był radnym wszystkich szczebli i posłem na Sejm dwóch kadencji (w 1969 i 1972 roku). Kosztem swojego odpoczynku łączył wychowanie dzieci z ciężką pracą na roli i pracą publiczną. Wiedzieliśmy, że nie było to łatwe, widzieliśmy go, nocując po zabawach u wujostwa w Kawęczynie, o której się kładł spać i jak wcześniej przed świtem wstawał. Niewiele dawał sobie godzin snu. „Tak musi być - mówił, uśmiechając się - aby wszystkiemu podołać”. Mimo takiego zapracowania, uśmiech z jego twarzy nigdy nie znikał. Pogrzeb Bronisława Burego odbył się 22 marca, o godz. 13, w parafii pw. św. Klemensa w Czerminie.

A to fragment z Encyklopedii Miasta Mielca autorstwa Józefa Witka

Bronisław Bury urodził się 1 sierpnia 1923 r. w Wadowicach Górnych. Jako najstarszy z ośmiorga dzieci Franciszka i Heleny z Szalickich pomagał w prowadzeniu gospodarstwa rolnego. Ukończył szkołę powszechną, a później uzyskał wykształcenie zawodowe rolnicze. Należał do miejscowego koła „Wici”. 29 października 1941 r. został zatrzymany przez niemieckich żołnierzy i wywieziony do Niemiec na przymusowe roboty. Jako więzień obozu pracy w firmie Ruhrstahl AG HENRICHHUTTE w Hattingen pracował przy transporcie materiałów budowlanych i budowie schronów przeciwlotniczych. 21 grudnia 1942 r. wraz ze 150 innymi więźniami został przewieziony do obozu pracy w miejscowości Welper. Próbował ucieczki, ale bez powodzenia. 8 lutego 1943 r. uległ wypadkowi podczas pracy przy budowie basenu przemysłowego. Leczone go w szpitalu ewangelickim w Hattingen, a następnie w szpitalach w Sprottau i Neuendettelsau, gdzie pracował przy obsłudze chorych.

Po zakończeniu wojny powrócił w rodzinne strony. W 1946 r. ożenił się z Janiną Łaz z Kawęczyna i przejął zniszczone w czasie wojny gospodarstwo jej rodziców. Z biegiem lat Burowie odbudowali gospodarstwo i rozwinęli produkcję rolniczą. Hodowali bydło i trzodę chlewną oraz uprawiali buraki, marchew, lucernę, tytoń i truskawki. Poza pracą w gospodarstwie Bronisław angażował się w działalność społeczną i polityczną. Założył Koło Stronnictwa Ludowego w Kawęczynie i został jego przewodniczącym, a od 1950 r. działał w Zjednoczonym Stronnictwie Ludowym, kółkach rolniczych i spółdzielczości. Fachową pracą w gospodarstwie i poświęceniem w działalności społeczno-politycznej zdobył sobie powszechny szacunek. W 1966 r. został wybrany na radnego Powiatowej Rady Narodowej w Mielcu, a w 1969 r. i 1972 r. na posła V i VI kadencji Sejmu PRL (uzyskał najwięcej głosów w Okręgu wyborczym nr 65 w Tarnobrzegu). W działalności poselskiej starał się o unowocześnianie rolnictwa i podnoszenie prestiżu zawodu rolnika.

Zgłosił się do Komisji Przemysłu Ciężkiego, Maszynowego, Chemicznego, Górnictwa i Energetyki, Geologii, Normalizacji i Patentów, gdzie wykazywał dużą aktywność i nieustępliwość w sprawach dotyczących wsi, a zwłaszcza mechanizacji rolnictwa. Taka postawa spowodowała, że nazwano go „ambasadorem rolników przy przemyśle”. O tym, jak upominał się o sprawy rolników, świadczą fragmenty wystąpienia w czasie VIII posiedzenia Sejmu PRL w dniu 15 grudnia 1972 r.: „...Jedną ze spraw, którą jako poseł rolnik pragnę poruszyć, jest zaopatrzenie rolników w maszyny i narzędzia niezbędne do intensyfikacji produkcji rolnej (...) Mimo znacznego zwiększenia produkcji nadal brak jest śrutowników, rozdrabniaczy uniwersalnych, parników elektrycznych, urządzeń za- i wyładowczych, wózków podręcznych oraz innego sprzętu ułatwiającego pracę rolnika (...) Nad jakością wprowadzanych na rynek maszyn rolniczych czuwa specjalna Komisja Odbioru Technicznego przy Ministerstwie Rolnictwa. Jak to się jednak dzieje, że

użytkownicy otrzymują maszyny z wadami produkcyjnymi i to zaopatrzone w stempelek tej komisji?” W takim stylu poruszał w swoim wystąpieniu kolejne sprawy: zaopatrzenia rolników w nawozy mineralne, zaopatrzenia wsi w węgiel i materiały budowlane, racjonalnego gospodarowania zbożem, zaopatrzenia transportu wiejskiego w samochody ciężarowe i sprzedaży traktorów dla rolników indywidualnych. Wyraził też zadowolenie z faktu uzyskania przez resort rolnictwa i Polską Akademię Nauk zwiększonych środków finansowych na prace badawcze. Nie były mu obojętne inne problemy powiatu mieleckiego i jego mieszkańców, m.in. interweniował w sprawach rozbudowy i wyposażenia Szpitala Powiatowego w Mielcu.

Po zakończeniu pracy poselskiej służył swoim bogatym doświadczeniem i kontaktami, będąc radnym Wojewódzkiej Rady Narodowej w Tarnowie (1980-1984) i radnym Gminnej Rady Narodowej w Wadowicach Górnych (1984-1988) oraz członkiem lokalnych władz ZSL. Został wyróżniony wieloma odznaczeniami państwowymi, m.in. Krzyżem Oficerskim OOP, odznakami resortowymi i licznymi dyplomami z podziękowaniami. Mimo wielu obowiązków nie zaniedbywał rodziny. 30 października 2006 r. w licznym gronie dzieci, wnuków i prawnuków świętował uroczystość 60. rocznicy zawarcia związku małżeńskiego z Janiną. Zmarł 19 marca 2011 r. Spoczywa na cmentarzu parafialnym w Czerminie.

Fryderyk Kapinos